EPOKA

ROK IV. | Warszaw, 5 sierpnia 1937 r. | Rok IV, Nr. 15 (94)

Treść numeru:

PIASECKI A DEMBIŃSKI I KOLEDZY

Sergiusz Piasecki, odsiadujący karę piętnastu lat ciężkiego więzienia na Ś-tym Krzyżu, autor głośnej powieści „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy", otoczony został moralną opieką społeczeństwa. Głośne apele o darowanie mu reszty kary, ostatnich czterech lat więzienia, skierowane na Zamek do Prezydenta Rzeczypospolitej, świadczą dowodnie o żywym współczuciu ogółu dla jednostki zbłąkanej, która pomimo swej straszliwej i krwią znaczonej przeszłości nie utraciła cech człowieczeństwa i ma dziś dość sił wewnętrznych aby wspinać się do życia na wyższym duchowym poziomie.

„Epoka" dołączyła już swój głos do chóru, wołającego o ratunek dla S. Piaseckiego, widząc w nim pisarza, który ma wiele jeszcze do powiedzenia a także człowieka, który w ogniu dotkliwych doświadczeń i cierpień moralnych odradza się i dźwiga do innego życia.

Ale zwróćmy teraz wzrok ku Wilnu, ku miastu Filaretów i Filomatów, gdzie do więzienia wtrącono żywy kwiat ducha i intelektu polskiego, — młodych pracowników naukowych i bojowników idei: Henryka Dembińskiego, Stefana Jędrychowskiego i Marię Żeromską.

Kogóż tutaj nie uderzy odrębność miary, stosowanej przez społeczeństwo do więźnia na Ś-tym Krzyżu i więźniów w grodzie Mickiewicza? Kto nie przystanie ze zdumieniem wobec rażącego kontrastu uczuć: żywych i płomiennych dla S. Piaseckiego, a zimnych i obojętnych dla H. Dembińskiego i jego kolegów? Co sprawia, że z jednej strony ogół żarliwie ubiega się i tłumnie kołacze o łaskę dla człowieka skazanego za przemyt i morderstwo, z drugiej zaś głucho i zacięcie milczy wobec losu pisarzy, którzy domagają się bynajmniej nie łaski, lecz sprawiedliwości? Trzeba bowiem dodać, że H. Dembiński i jego koledzy nie są skazani żadnym wyrokiem sądowym i zastosowana wobec nich kara więzienia ma jedynie charakter zapobiegawczy.

Ze słów Mieczysława Niedziałkowskiego, który upomina się o więźniów wileńskich, dowiadujemy się, że nieomal w przededniu zamknięcia ich za kratą, H. Dembiński, St. Jędrychowski i M. Żeromska zgłosili swój akces do Polskiej Partii Socjalistycznej. Odbyli oni dużą ewolucję ideową — powiada redaktor „Robotnika": „reprezentują bez żadnej przesady elitę młodego pokolenia inteligencji polskiej. Zaczęli od katolicyzmu „społecznego". Radykalizm społeczny i zarazem wierność wobec kościoła. Wszystko szcze-

rze i uczciwie. Jawnie i publicznie. Później porzucili linię politycznego obozu „sanacyjnego", z którym byli poprzednio związani. Szukali własnych dróg. Zawsze uczciwie i zawsze szczerze. Myśleli samodzielnie. Odczuwali samodzielnie. Wreszcie znaleźli. Przyszli pod sztandary socjalizmu polskiego. Przyjęli jego ideologię. I wtedy ich.... zaaresztowano".

Przystąpili więc do stronnictwa, które z tradycją walki społecznej o wyzwolenie rzesz pracujących połączyło najszczytniejszą tradycję bohaterskiej walki o niepodległość. Zgłosili wierność sztandarom, które na zawsze pozostaną dumą Polaka. Zgłosili ją nie z praktycznego wyrachowania, poszukującego korzyści osobistej, ale z gorącej potrzeby ducha, dążącego do urzeczywistnienia wyższych i doskonalszych form współżycia.

Któż z nich, pisarzy ideowych, wrażliwych, umysłowo dojrzałych, sumiennych w myśleniu mógł, wżerając się w ponurą i bolesną prawdę dzisiejszego życia polskiego — pozostać na uboczu, nie wprzągnąwszy swoich sił i talentów na służbę innego, nowego życia? Któż z nich, jako czynnych pracowników kultury mógł zdawkowo pominąć najważniejsze zagadnienia współczesności? Któż z nich, widząc przepaść, która w dzisiejszych przełomowych czasach rozwiera się między materialną kulturą a kulturą duchową ludzkości i coraz mocniej występujące kontrasty między wspaniałością postępu technicznego a zubożeniem i zbrutalizowaniem życia duchowego, mógł się opowiedzieć po stronie systemów wyzysku i przywileju? Czyż mając świadomość, że wielkie zdobycze i bogactwa kultury służą coraz mniej dla dobra całego narodu, a obracane są niemal na wyłączny użytek warstw pasorzytujących, mogli stanąć nie po stronie wielkiej rzeszy ludu, lecz nielicznej grupy wybrańców? Mieli tworzyć aureole nad głowami bankierów oraz ich politycznych i prasowych najmitów?

Wzgardziwszy więc życiem w stadzie Panurga, opowiedzieli się po stronie demokracji, i to jest zapewne przyczyną, dlaczego czułe „sumienie społeczne", które ścierpieć nie może dalszego trzymania w więzieniu Sergiusza Piaseckiego, głuche jest jednocześnie na los Henryka Dembińskiego i jego towarzyszy, a nawet w osobie najbardziej upodlonych okazów występuje przeciwko nim. Ten znikczemniały ogół pozwala tutaj raz jeszcze się przekonać, czym są jego wzniosłe hasła i zasady, i jak stronniczo i obłudnie stosuje w życiu prawo moralne, które nakazuje żywe poczucie jedności i wspólności z innymi ludźmi i nie pozwala żyć spokojnie wobec grozy ich niedoli.

Równie nędzną i pustą jest cała ta napuszona deklamacja o młodzieży, cała wystawowa, reklamowa, obnoszona po Polsce troska o jej przyszłość. Miarą zakłamania i bezgranicznej obojętności na losy naszej kultury i wiedzy jest ubieganie się zgranych partii politycznych o podbicie młodzieży na swój użytek, nie wiele dbając o jej życie i nauki. Los niemal wszystkich pracowników naukowych, asystentów, docentów, wyzyskiwanych i pozostawionych wyłącznie sobie, spauperyzowanych i zepchniętych poniżej człowieczej stopy bytu, potwierdza tylko tyleż obłudny, co bezmyślny i karygodny stosunek ogółu do świata duchowej i umysłowej kultury kraju.

Nikt nie zdoła zliczyć i wymienić entuzjastów nauki, którzy ulegli w nierównej walce z przeciwnościami losu, z obojętnością ogółu, z przemocą ciemnoty i bądź schodzili przedwcześnie do grobu, bądź zapełniali szpitale lub ratując się, sięgali po inne warsztaty obcej sobie pracy. A jeśli oprócz tych ofiar teroryzmu głupoty, ulegając naciskowi i nagance wojującego wstecznictwa, odsyła się do więzień wybitnych publicystów i pracowników naukowych, jak Henryk Dembiński, Stefan Jędrychowski i wielu innych, to czyż ta marnotrawna i zdrożna rozrzutność nie pomści się srodze na zasobach duchowych narodu?

Prasa codzienna ostatnio doniosła, że Sergiusz Piasecki, utalentowany powieściopisarz opuścić ma niebawem ponure mury Świętego Krzyża *). Wszyscy ludzie kulturalni cieszyć się będą szczerze z odzyskanej przezeń wolności. Ale czyż ci sami ludzie mogą swą milczącą postawą aprobować zamknięcie w celi więziennej ludzi, obdarzonych nie tylko talentem pisarskim, ale i duszą, wrażliwą na niedolę ubogich i cierpiących. Zdawałoby się, że wartości duchowe, wyrażające się w tych młodych talentach i w tych młodych czujących duszach powinny w odrodzonej ojczyźnie być nie marnowane i poniewierane w więzieniach, ale pielęgnowane i otaczane opieką. Przecież tylko światła i gorliwa opieka mogłaby choć w części wynagrodzić i powetować straty i cierpienia, poniesione w ciągu stu lat ubiegłych z mściwej ręki zaborców.

*) Zapowiedź się sprawdziła, Sergiusz Piasecki jest już na wolności.

Z dnia na dzień

DOCINKI MOŻNYCH MALKONTENTÓW.

— U nas — proszę pana — gdy ktoś zostanie ministrem, już nie opuszcza salonki, Paccarda, czy innego Buicka. Dygnitarze nasi wpajają w masy przekonanie, że są oni kimś niedostępnym zupełnie dla zwykłego śmiertelnika. Nie chcemy i nie możemy wymagać, by Pan Prezydent spacerował sobie sam jeden po Alejach Ujazdowskich. To byłoby nonsensem. Lecz dobrzeby było, gdyby dygnitarze nasi, kierownicy poszczególnych resortów zeszli raz po raz ze swych piedestałów i odbyli wędrówkę nawet w towarzystwie kilku agentów, przez miasto, przez ciasne uliczki i zaułki, by zajrzeli do jednego, drugiego mieszkania robotniczego, incognito, bez rozgłosu i uprzedzenia, a dopiero po tym społeczeństwo by się dowiedziało z prasy, że pan minister N. osobiście interesuje się życiem i potrzebami szarych obywateli, które chce znać nie tylko z raportów urzędowych...

Któż to w ten sposób dygnitarzom naszym docina, wytykając im salonki i najdroższe marki samochodów? To — konserwatywny „Czas", który, nadomiar, opinię swą, aby wymowę jej zaostrzyć, wkłada w usta pewnej osobistości, zajmującej jakoby wysokie w hierarchii państwowej stanowisko. „Czas", organ magnatów, którzy sami, jak wiadomo, mieszkają w dworach i pałacach, odosobnionych od „tłumu", a jeśli podróżują, to również w warunkach zbytku, który ich izoluje nie gorzej od ministerialnej salonki.

Istotnie, ceremoniał, którym otoczył się wysoki pieniądz, nie ustępuje w niczym protokułowi dyplomatycznemu, jaki uświetnia wysoką władzę państwową. Komu-ż przytym nie rzuca się w oczy, że dostojnicy państwowi, tak samo zresztą jak i kościelni, oblekając się w splendory zbytku, naśladują właściwie tylko wzory, stworzone przez dostojników pieniądza, chcąc im dorównać stopą życia i wydatku?

PROPAGANDA ASCEZY

Swoją drogą, narzekania „Czasu" na to, że sfery dygnitarskie, izolując się w swych muszlach zbytku, zatracają styczność „z potrzebami swych obywateli", zasługują na uwagę.

Taki, naprzykład, Radziwiłł, Falter lub Potocki niewątpliwie chcieliby mieć pewność, że mogą spać spokojnie w swych kasztelach, że na straży ich fortun, wżerających się w karki głodnego chłopstwa, stoi czujna i badawcza straż opieki administracyjnej. Ale jakąż ci panowie — pyta frasobliwie „Czas" — mogą mieć pewność, skoro ci, którzyby — jego zdaniem — powinni czuwać nad nietykalnością jaśnie-pańskiego zbytku, sami poddają się izolującej atmosferze „salonki, Paccarda czy innego Buicka".

O ileż pewniej i bezpieczniej czuliby się panowie magnaci w swych twierdzach posiadania, gdyby widzieli, że załoga, w której upatrują ochronę swych przywilejów, żyje w spartańskiej ascezie, w cnocie prostoty, która daje siłę i hart!

I tu leży ziarno dyskretnej lecz przejrzystej intencji „Czasu". Tu tkwi zaród jego zgorszenia i niepokoju.

SZCZYT LUKSUSU

Charakterystyczny jest sposób, w jaki „Czas" pragnąłby zaradzić rozdziałowi, wytwarzającemu się między sferami rządowymi a środowiskiem społecznym.

Zdawałoby się, że na zbliżenie rządu do społeczeństwa i jego potrzeb nie ma sposobu skuteczniejszego, niż powrót do demokracji i jej rozbudowa, t. j. wypełnienie jej form politycznych demokracją gospodarczą i społeczną, dającą istotne, nie zaś papierowe tylko, równouprawnienie obywateli.

A tego właśnie organ konserwy ziemiańskiej, żyjącej z wyzysku chłopa i robotnika, boi się jak ognia. — Co? — woła „Czas" — powrót do demokracji? Ależ to byłoby cofaniem się wstecz! To byłoby nawrotem do antykwariatu politycznego!

I, nie chcąc powracać do zasad i postulatów demokracji, woli cofać się... do czasów Harun-al-Raszyda. Radzi ministrom, aby wysiedli z samochodów i, wzorem pradawnego kalifa Bagdadu, zaczęli zwiedzać **incognito** ciasne uliczki miast i samotne opłotki wiejskie, zbierając po drodze konkretne nastroje kraju i wsłuchując się chyłkiem w jego prawdziwe potrzeby.

Wystarcza zastanowić się nad ułamkową choćby próbą urzeczywistnienia w czasach dzisiejszych metod arabskiego despoty; wystawić sobie choćby przez chwilę ministrów naszych z parasolem w ręku i przyprawionymi wąsami błądzących po zaułkach Płońska albo Wołkowyska, aby orzec, gdzie — po której stronie orientacji — znajdują się u nas antykwariusze polityczni.

Oto banialuki arabskie, o których nie warto byłoby wspominać, gdyby nie grunt, na którym się rodzą. Bo w rzeczywistości rodzą się one z pustki, jaka w kraju wytworzyła się tam, gdzie zasiadało dawne przedstawicielstwo narodowe. Wprawdzie i dziś, na tym samym miejscu, zbierają się izby, które noszą miano sejmu i senatu, ale organ konserwy jest o tyle realny, że ani mu w głowie postanie myśl o nich, jako o miarodajnym ognisku opinii narodowej. Gotów jest on po zbieranie okruchów tej opinii wysyłać ministrów do Płońska lub Wołkowyska, ale rozumie, że bezużyteczną dla nich byłoby rzeczą chodzenie w tym celu do sejmu. Doskonale. Lecz w takim razie musimy zadać „Czasowi" jedno pytanie: czy utrzymywanie przedstawicielstwa narodowego w postaci takiego sejmu i senatu, jakie istnieją obecnie, nie jest luksusem o wiele większym, niż ten, który organ konserwy wytyka naszym dygnitarzom, nie wyruszającym — jak mówi — z domu bez salonki lub Paccarda?

ZNAK CZASU.

Idąc w ślady warszawskiego „Gońca", do niedawna żarliwego posłannika „nauk" faszystowskich, obecnie, jego wierny kamrat, osławiony „Ikac" krakowski przeobraził się znagła w pogromcę hitleryzmu.

W artykule p. t. „Włosy, zęby i huty żelazne trofeami państwa totalnego" „IKC" zohydza ustrój III Rzeszy w sposób równie płomienny, jak przedtem go zachwalał i gloryfikował. Roztacza więc obrazy ponurej i złowieszczej grozy, zamyka zaś swoje wywody w słowach następujących:

„Tak więc eksperymenty niemieckie skłaniają wszystkich w Europie do refleksyj napewno niewesołych. Staczamy się po równi pochyłej i nawet nie zdajemy sobie sprawy z szybkości, z jaką proces ten się odbywa. Jeżeli zaś Europa jako całość nie ma ulec katastrofie, to w tych jej społeczeństwach, które nie dostały się w żelazne tryby potężnych maszyn państw totalistycznych musi potężnieć z dnia na dzień chęć przeciwstawienia się wszelkiego rodzaju totalizmowi.

Trzeba to uczynić; w imię wolności człowieka, w imię kultury społecznej, w imię swobody gospodarczej, w imię ochrony narodów przed najstraszliwszą formą niewoli. Europa stanęła na skrzyżowaniu dróg i musi zdecydować: czy chce być nowoczesnem państwem faraonów, czy też rodziną wolnych społeczeństw".

Zdumiony czytelnik przetrze niewątpliwie oczy i zapyta: co sprawiło, że ten doniedawna filo-hitlerowski organ tak zasadniczo zmienia swoje stanowisko, czym wytłumaczyć ten nagły nawrót do demokracji i humanizmu?

Nikt, rzecz prosta, nie posądzi o pobudki ideowe wydawców „I.K.C.", którzy kierować się zwykli tylko interesem. Interesem kierowali się oni wówczas, gdy byli czcicielami hitleryzmu; niewątpliwie interesem kierują się i dziś gdy hitleryzm zohydzają.

Ale w tym właśnie tkwi miarodajny znak czasu. Przybór fali demokratycznej w Rzeczypospolitej i wzrastająca coraz bardziej niepopularność idei faszystowskich, zdecydowanie przeciwna i wroga postawa rzesz pracujących wobec wszystkich forpoczt hitleryzmu w Polsce grozić poprostu zaczęła „I.K.C." i innym pobratymczym „domom prasy" zupełnym opustoszeniem.

Ucieka więc „I.K.C." pośpiesznie od własnych tez, które dotąd narzucał społeczeństwu, przedstawiając je wtedy za zbawcze, a ich przeciwników za żydokomunę. Ucieka od własnych tez wczorajszych, aby gonić resztę czytelników.

CAT-MACKIEWICZ W SWOIM REPERTUARZE.

Nikt na lewicy, poczuwający się do odpowiedzialności za głoszone słowo, nie poważył się twierdzić, że zamach na płk. Koca „leżał w interesie" jakiegoś prawicowego ogrupowania politycznego. Nie poważył się nawet snuć jakichkolwiek przypuszczeń w tym kierunku ani czynić jadowitych aluzji, nie bacząc na to, że doświadczenie życia polskiego po odzyskaniu niepodległości w pewnym sensie do tego by upoważniało.

Natomiast po prawicy poważył się to uczynić p. Cat-Mackiewicz, który, przyczaiwszy się za plecami demokracji, zerkając porozumiewawczo w stronę policjanta, wskazywał wprost na nią, jako domniemane źródło zbrodni.

Przyparty do muru przez Mieczysława Niedziałkowskiego, osławiony carofil wileński cofnął wskazujący palec i po szelmowsku mrużąc oko, powiada teraz, że za pewne plugawe dwuznaczniki, za niejasności myśli i za konieczność czytania między wierszami odpowiada nie on, tylko „prasowa polityka rządu". Wyjaśnia więc p. Cat-Mackiewicz sens swoich poprzednich wystąpień i formułuje ostatecznie swój pogląd na tę sprawę: „1) nonsensem jest obciążanie endecji czy O. N. R. odpowiedzialnością za zamach na płk. Koca i to nawet wtedy, gdyby się okazało, że zamachowiec i jego wspólnicy wyszli ze sfer endeckich; do tego stopnia jest jasne, że zamach na płk. Koca nie może leżeć w interesach politycznych tych grup, 2) natomiast zamach taki przy zwalaniu odpowiedzialności na endecję leży w interesie międzynarodowych mafji lewicowych".

Redaktor „Robotnika", odpierając z aż nadto uzasadnioną wzgardą te „wybryki" „Słowa" przecina całą sprawę oświadczeniem, że z „głupstwami" się nie polemizuje. Wolno zajmować i takie stanowisko. Niestety, jednak z takich „głupstw" składa się cała „polityka prasowa" i cała partia, którą gra od dłuższego czasu p. Cat-Mackiewicz dla dobra służby w zaprzęgu kapitału i w domenach żubrów litewskich. Ta gra błyskotliwa, zmienna, wężowata, pełna niespodziewanych dygresji, pokłonów, wypadów, prisiudów, ataków, przeplatanych momentami rejterady, jest jednakże bardzo konsekwentna, przemyślana i zręczna. Z pozoru dziwna i chaotyczna, na zmianę podstępna i faryzeuszowska, to znów patetyczna i kaznodziejska, — na chwilę jednakże nie przestaje wirować wokół jednego motywu: obrony zagrożonego bytu wielkiego ziemiaństwa.

Jakąż radością zachłystywać się musi ta malownicza osobistość wileńska, skoro dowiaduje się z łam „Gazety Polskiej", że jej oblicze, skrzętnie chowane pod maską — określa się tylko jako „ekstrawagancję polityczną", określa się przecież terminem niewinnym, dającym wyobrażenie o czynnym temperamencie i o wybujałej oryginalności pisarskiej głównego menera „Słowa". A w gruncie rzeczy żadna poza tej teatralnej postaci nie jest przypadkowa: wystudiowany jest każdy gest i każdy piruet, a miotając się po scenie naszego życia waży dobrze, w jakim punkcie i przed kim zapalić kadzidło lub dyg powłóczysty wykonać, kogo miodem pomaścić, komu zęby pokazać, kogo wyniosłym brzuchem przytłoczyć, komu pogrozić lub obrzucić smrodliwym pomiotem.

„MAŁY PIŁSUDCZYK", DUŻY CAROFIL, HITLEROFIL.

Dawniej, zanim zszarzał ostatecznie urok carskich i cesarskich tronów, tych dawnych podpór polskiego możnowładztwa (patrz Pisma Zbiorowe Józefa Piłsudskiego Tom I), p. Cat-Mackiewicz głosił idee monarchiczne, widząc w koronie pewną gwarantkę obszarniczego stanu posiadania. Gdy jednakże demokracja miast króla i udzielnego panowania jego wyzłoconej czeladzi uznała, że warunkiem wielkości i siły Rzeczypospolitej jest uobywatelenie gromady chłopskiej i wcielenie w życie rzetelnej reformy rolnej, — „ekstrawagant" zwrócił się przeciw sejmowładztwu i nazajutrz po przewrocie majowym — podchwycił koło polityki Nieświeża.

Dziś ma prawo z dumą o sobie powiedzieć: „pierwszy z całej prawicowej prasy opowiedziałem się po stronie zamachu majowego. Wtedy uważali mnie za ekstrawaganta i najgłośniej o tym krzyczeli ci właśnie, którzy po kilku latach zarzucali mi, że jestem za małym piłsudczykiem i za mało lojalnym członkiem B. B.".

Gdy zabrakło Romanowów jako ostoi obszarnictwa, carofilstwo stało się już tylko kojącym światłem duszy p. Cat-Mackiewicza, ale nienadające się więcej do praktycznych celów służby. Przerzucić znów wypadło transmisję na koło faszystowskiej dyktatury, która zapewnić miała spokój posiadania mocodawców p. Cat-Mackiewicza. Przywdział więc nową maskę, przystosowaną do zmienionych okoliczności: „poganizm rzymski, kult siły, piękna, zdrowia rasy — to wszystko odradza się w Mussolinim, odradza się w Hitlerze. Jestem filo-hitlerowcem ze względu na wspólnotę celów, na walkę z bolszewizmem. Ale jest po za tym we mnie trochę historyka, patrzącego, gdzie biegną nurty prądów ideowych. Konsekwencją hitleryzmu musi być neopoganizm. Oni także mają za bóstwo moc, siłę, żołnierski obowiązek, odwagę na polu bitwy, oni także wierzą we wspólną duszę narodu. To są wszystko założenia starorzymskiej mistyki religijnej. Już dziś ideały pogańskie stanowią główną treść ruchu..."

Dobro więc służby wymaga dziś od p. Cat-Mackiewicza „orfickiego" i „mistycznego" stosunku do życia, wymaga nowych reinkarnacji. łączenia duszy swojej z nowym ciałem politycznym. Świeże wcielenie „ideowe" zaczął zgodnie z naturą hitlerowską od krucjaty demokracji i idei ludowładztwa, od przewodzenia zawziętej nagance na wybitnych pisarzy i przedstawicieli postępu polskiego (W. Rzymowski, Maria Dąbrowska, H. Dembiński, Jędrychowski, Żeromska i in.).

Ten orfik wileński, płynąc już dziś wyraźnie ku brzegom endeckim, zapewne sam niezadługo ulegnie reinkarnacji na lądzie Dmowskiego. Póki co zaś, żeglując po zaklętych wodach królestwa cieni, śpiewa jeszcze peany na cześć min. Becka, spala kadzidła dla O. Z. N., krzesa pioruny nad głową woj. Grażyńskiego i marzyć nie przestaje o utopieniu w żółci min. Poniatowskiego wraz z jego otoczeniem i reformą rolną.

POLITYK ZATRĄCAJĄCY TARGOWICĄ.

P. Stanisław Mackiewicz, którego przezywają nielegalnym gubernatorem Wilna, wyobraził snadź sobie, że jest również generalnym inkwizytorem. Zaniepokojony naszym twierdzeniem (p. poprzedni nr. *Epoki:* „Temat godny Studnickiego") o jego fenomenalnej karierze, nie dającej się absolutnie wytłumaczyć ani zbyt wielkimi walorami jego umysłu, ani zaletami pióra, usiłuje swój niepokój pokryć, jak zwykle, tupetem.

Z wysokości tego tupetu „wzywa" nas, abyśmy oświadczyli, co notatka nasza „miała na myśli", kierując to wezwanie specjalnie pod adresem p. Wasowskiego oraz p. Grosterna, prezesa Syndykatu dziennikarzy warszawskich.

Tupet, istotnie, wyjątkowy, ale tym razem źle zastosowany. Nie dla tego, że notatkę, którą uczuł się podekscytowany p. Mackiewicz, nie pisał ani p. Wasowski, ani p. Grostern, i obarcza ona przede wszystkim redaktora, podpisującego *Epokę*. Nie! Tupet p. Mackiewicza polega na swoiście zaimprowizowanej przezeń roli obrażonego niewiniątka, które udaje, że oprócz smoczka, dalibóg, nic jeszcze nie miało w pulchnej, delikatnej buzi.

Jak śmie ten kuty na cztery nogi jegomość udawać uciśnioną niewinność, domagając się od nas listy swoich grzechów, skoro wie, że listę taką wystawiono mu publicznie, i to wielokrotnie; i że zdarzało się, że listę taką nietylko mu wystawiono, ale i — w poważnej mierze — uzyskano dla niej miarodajne potwierdzenie w wyroku instancji sądowej.

Mamy tu na myśli wyrok, jakim swego czasu zakończyła się w sądzie Okręgowym w Warszawie sprawa, wytoczona z oskarżenia p. Mackiewicza przeciw Bolesławowi Srockiemu, redaktorowi „Narodu i Państwa". Oskarżycielem formalnym był p. Mackiewicz, ale — jak to często się dzieje w procesach o zniesławienie — w toku rozprawy role się odwróciły, i nie „Naród i Państwo", lecz „Słowo" w osobie swego redaktora stanęło pod pręgierzem dotkliwych oskarżeń. Głównym z tych oskarżeń, niejako tym, w którym streszczały się wszystkie

inne, był stawiony p. Mackiewiczowi straszny dla Polaka zarzut, określający jego stanowisko, jako „światopogląd targowicki".

Rozprawa była burzliwa i długa, wyrok zaś a przede wszystkim jego motywy — niesłychanie znamienne. Wypadły one dla Mackiewicza w sposób moralnie druzgocący.

Pozwolimy sobie przytoczyć je w brzmieniu dosłownym, podanym przez „Naród i Państwo" w n-rze 7 z dn. 14.II 1937.

1) Stwierdzając, że użycie w artykule Bolesława Srockiego szeregu ostrych zwrotów i epitetów w stosunku do oskarżyciela prywatnego, Stanisława Mackiewicza, stanowi niewątpliwą obrazę i przestępstwo z punktu widzenia art. 256 K. K. Sąd uwzględnia równocześnie, że w danym wypadku użycie tych epitetów było wynikiem wyzywającego tonu artykułu p. Mackiewicza i stąd kary za ich użycie nie wymierza.

2) Sąd uznaje, że użycie słowa „targowicki" stanowi przestępstwo z punktu widzenia art. 255 K.K., a to przywiązując do powyższego słowa, zgodnie z tezą oskarżenia, pojęcia zdrady kraju, sprzedawczykowstwa. Równocześnie jednak Sąd stwierdza, że ponieważ W ARTYKULE P. MACKIEWICZA SĄ USTĘPY, KTÓRE „ZATRĄCAJĄ" TARGOWICĄ, Sąd wymierza oskarżonemu Bolesławowi Srockiemu łagodny wymiar kary w postaci 1 miesiąca aresztu z zawieszeniem na lat dwa oraz 50 zł. grzywny.

Komentarze zbyteczne — dodała od siebie redakcja „Narodu i Państwa".

Komentarze zbyteczne! — powtórzymy i my, a wraz z nami chyba i wszyscy Polacy - patrioci, rozumiejący, co znaczy w rejestrach naszej dziejowej tradycji — „zatrącać" Targowicą. Na głowę publicysty i redaktora głośnego dziennika spadł z ramienia instancji sądowej zarzut jeden z najcięższych, jakie porazić mogą Polaka. Na czole pisarza politycznego spoczęło znamię o niedwuznacznej wymowie: znamię, które w Polsce od stu lat przekreśla i przekreślać musi w dotkniętej nim jednostce wszelkie dane do zabierania głosu w sprawach publicznych.

Czegóż więc chce od nas ten autor ustępów zatrącających Targowicą? Jeśli po takim wyroku, taki pan może jeszcze utrzymywać się nadal na powierzchni życia publicznego, ba! huczeć jak bąk w słoju, napastując jednych, mentorując drugim, to mieliśmy chyba powody spytać, czym się to dzieje? Na jakich drożdżach wyrosła w Polsce tego rodzaju kariera i fortuna Bo nie jest chyba rzeczą ani zdrową, ani pożądaną, aby wybitne w opinii kraju stanowiska wyrastały u nas właśnie z gleby, zatrącającej Targowicą.

Nie dalej, jak w ostatnich dniach zeszłego miesiąca redaktor „Słowa" wystąpił z interpelacją pod adresem szefa rządu, pytając: „czy premier ma program w sprawach dla Polski kapitalnych?"

Był okres w Polsce, gdy ludzie, zatrącający Targowicą, grali wpływowe role i nawet w pewnej chwili zdecydowali się sięgnąć po rządy. Ale był to okres, który poprzedził upadek i rozbiory Polski.

Szlachta folwarczna i biskupi
w powstaniu kościuszkowskim

(dokończenie)

Program aktu powstania obejmował przede wszystkim wypowiedzenie walki rządowi warszawskiemu, jako ustanowionemu przemocą, wbrew stanowisku większości narodu. Jako rządowi, który „przybrał sobie świętokradzko imię narodowego rządu". Wypowiadał zarazem walkę Rosji, której ten rząd był tworem, która okupowała kraj, depcąc „najświętsze prawa wolności". Wypowiadał akt krakowski walkę całej reakcji, piętnując ją mianem „zdrady" i podkreślając wyraźnie, że klęski swoje zawdzięcza Polska nie tyle mocy oręża nieprzyjacielskiego, ile wewnętrznym żywiołom reakcyjnym, owej „zdradzie". Poza głoszeniem wewnętrznej walki z wrogiem klasowym, jest powstanie zarazem protestem przeciwko rozbiorom, staje wyraźnie na gruncie narodowo wyzwoleńczym. „Uwolnienie Polski od obcego żołnierza, przywrócenie i zabezpieczenie jej granic, wytępienie wszelkiej przemocy i uzurpacji, tak obcej jak i domowej, ugruntowanie wolności narodowej i niepodległości Rzeczypospolitej, ten jest cel święty powstania naszego". Podnosi również sprawę „więzów mowie narzuconych".

Już sama redakcja aktu krakowskiego zdradza różnice poglądów między kierownikami powstania. W zasadzie akt usiłuje stanąć na gruncie legitymizmu — walczy o przywrócenie rządu z przed targowickiego przewrotu, tzn. o przywrócenie stanu, ustalonego przez Konstytucję Majową. Mimo to nie została ona ani razu wspomniana, nie znajdujemy żadnej choćby do niej aluzji. Sprawa ta była potem przez cały czas przedmiotem zaciętych walk między grupami w obozie powstańczym. Prawe, szlacheckie skrzydło usiłowało postawić powstanie na gruncie konstytucji majowej, zabezpieczyć się w ten sposób przed wszelkimi radykalniejszymi zmianami. Grupa radykalna natomiast rozumiała, że, po trzech latach wstrząsów rewolucyjnych w Europie i Polsce, konstytucja ta nie ma już siły atrakcyjnej, za bardzo wyprzedziły ją upowszechniające się wszędzie hasła Rewolucji Francuskiej. Konstytucja ta nie odpowiadała potrzebom chwili, nie dawała nic chłopu, na którego powstańcy tak bardzo liczyli, nic nie dawała dołom mieszczańskim, które były najgorętszą podporą rewolucji. Dlatego też akt powstania, pomijając milczeniem konstytucję, wysuwa cieszące się wielką popularnością wówczas hasła walki z „despotyzmem" i „tyranią" o „powszechną wolność". W zakończeniu przytacza akt krakowski naczelną dewizę francuskiej rewolucji „ocalenie ludu jest najwyższym prawem".

Ta wolnościowa frazeologia była tylko agitacyjną okrasą. W całym akcie niema najlżejszej nawet wzmianki o możliwości choćby reformy społecznej. Sprawa konstytucji odsunięta zostaje na czas popowstaniowy, zadecyduje o niej sejm — należy sobie dopowiedzieć, że sejm ten wybrany będzie według dawnych przepisów, tzn. szlachecki. Więcej nawet, szlacheckie i wielkoburżuazyjne elementy, obawiając się niespodzianek, które tak łatwo przynieść mogła wywołana burza — gwarantowały w tym akcie ogółowi szlacheckiemu nietykalność jego panowania, nietykalność ustroju. Akt powstania „ostrze-

ga jak najuroczyściej", że żadna z władz powstańczych, ani nawet *„wszystkie razem wzięte"*(!) nie mogą uchwalać nic, coby wchodziło w kompetencje konstytucji. Była to asekuracja przed zamachem na ustrój szlachecki, przed społeczno-gospodarczą rewolucją. Zaznaczmy jeszcze, że asekurował się nie ogół szlachecki, który w najlepszym razie zajmował bierne, wyczekujące stanowisko, lecz sami organizatorzy i przyszli wodzowie powstania a więc element okrzyczany za radykalny i „jakobiński". Postanowienia te tak zdawałoby się nie pasujące do zadań jakie stawiał sobie ruch kościuszkowski (obudzenie aktywności chłopa), były też pierwszym gwoździem wbitym do jego trumny.

Punktem, w którym powstanie zrywało z politycznymi tradycjami Polski była organizacja władz powstania. Akt krakowski wyraźnie odsunął do czasu całkowitego zwycięstwa powołanie jakiegokolwiek ciała reprezentacyjnego, zrywając tymczasowo ze szlacheckim parlamentaryzmem. Tymczasem cała władza skupiona została w ręku jednego człowieka, władza oparta przede wszystkim na sile zbrojnej. Dyktatorem był naczelny dowódca sił zbrojnych Tadeusz Kościuszko.

Kościuszko zdobył sławę jako uczestnik walk o niepodległość Stanów Ameryki Półn., w kraju zaś wyróżnił się w kampanii 1792 r. (przeciw Targowicy) bitwą pod Dubienką, co wobec jawnej zdrady większości wyższych dowódców musiało zwrócić na niego uwagę. Podniósł swą popularność podając się do dymisji po zwycięstwie reakcji i usuwając się na emigrację. W wojsku i wśród radykalniejszych działaczy zyskał popularność jako przeciwnik Rosji i jej adherentów, oraz jako uznany już „obrońca wolności". Podobną pozycję zdobył we Francji gen. Lafayette, również uczestnik walk amerykańskich.

Fakt, że Kościuszko był jedynym kandydatem na wodza powstania w wysokim stopniu charakteryzuje zarówno wewnętrzną sytuację jak i taktykę jego organizatorów. Nieokreślona bliżej legenda o nim jako „szermierzu wolności" zyskiwała mu elementy ludowe, prawdopodobniejszym czyniła pozyskanie chłopstwa, z drugiej zaś strony *brak ideowego oblicza, fakt, że Kościuszko politycznie nie był w kraju zaangażowany, był przede wszystkim generałem — ten fakt powodował, że był on do przyjęcia i dla szlachty, drżącej przed rewolucją.* Jego dyktatura miała być widomym znakiem wewnętrznego zawieszenia broni, klasowego rozejmu między wszystkimi warstwami przystępującymi do powstania.

Olbrzymie znaczenie dla atmosfery pierwszych dni powstaniowych, oraz dla jego programowego oblicza miał fakt, że powstanie rozpoczęło się w krakowskim, zdala od Warszawy i centralnych okolic głównego ośrodka ruchu rewolucyjnego. Odsuwało to od wpływu zarówno burżuazję, jak i zwalniało od koncesyj na rzecz zrewoltowanych mas. Powstanie ograniczone w pierwszym momencie do okręgu krakowskiego musiało liczyć się z miejscowymi warunkami, musiało kłaść nacisk przede wszystkim na zdobycie szlachty, siły tutaj decydującej. Z drugiej zaś strony nie miało pod ręką owych arystokratycznych zdrajców, przeciwko którym wymierzony był akt powstania. Nie zmuszało to do bezpośredniego ogłoszenia wojny domowej, oddalało ją, czyniło sprawą tego rzędu co „walka z tyranem". Ten moment w dużej mierze zadecydował, że powstanie nie przybrało w pierwszym momencie akcentu rewolucji społecznej.

Ta połowiczność i dwulicowość zarazem bardzo rychło wydała owoce, nie takie jednak, jakich spodziewali się kierownicy powstania. Program powstania nie mógł trafić do chłopów, nie do nich bowiem był skierowany, zbyt zaś odstępował od dotychczasowych wzorów ruchu szlacheckiego (konfederacja), zbyt rewolucyjnym przemawiał językiem, aby nie wywołać poważnego zaniepokojenia wśród szlachty. Szlachta, poza nieliczną jej częścią w woj. krakowskim, ustosunkowała się biernie, więksi obszarnicy wyraźnie wrogo. Powstanie nie rozszerzało się, mimo iż w sąsiednich województwach nie było siły mogącej stanowić zewnętrzną przeszkodę — nie było wojsk rosyjskich. Sąsiednie woj. sandomierskie zastosowało bierny opór, wywołując odezwę Kościuszki z dn. 17 kwietnia, skierowane do „sandomierzanów", pełną perswazyj i wezwań, a grożącą w zakończeniu *„kto nie jest z nami, jest przeciwko nam"*.

Na postawę szlachty, poza lękiem przed rewolucją, wpływały dwie rzeczy. Powstanie potrzebowało ludzi, tzn. chłopów „chłop bowiem, jak twierdziła Konstytucja majowa, najliczniejszą w narodzie stanowi ludność"; chłopów tych zabierano w czasie robót wiosennych, narażając pana na straty. Niemniej od ludzi potrzebowało powstanie pieniędzy, tych zaś nie dało się wycisnąć od chłopa w dostatecznej ilości przynajmniej. Pieniędzy żądano od „posesjonatów", szlachty i mieszczan. Pierwszym aktem powstania było nałożenie progresywnego podatku od dochodu. Majątki szlacheckie i miejskie obłożono podatkiem, który wynosił: od pierwszych 2 tysięcy dochodu 10%, 3-ci — 10-ty tysiąc dochodu płaciły podatku 20%, 11-ty — 50-ty tysiąc 30% i powyżej 50 tys. 40%. Dochody duchowieństwa obciążono większym podatkiem — pierwszy tysiąc 10%, drugi 20% i powyżej — 50%.

Mimo, iż akt ten nie był dekretem rządu powstańczego, był uchwałą „obywatelów, mieszkańców województwa krakowskiego", to jednak nie uchwalali go ci, do których głównie miał on się odnosić — nie uchwalała go ani bogata szlachta folwarczna, ani wyższy kler. To pierwsze posunięcie powstania, tak jaskrawo sprzeczne z tradycjami „szlacheckiej wolności", która przede wszystkim była wolnością od wszelkich podatków — usuwało w cień polityczną i społeczną zachowawczość jego programu, niosło bezpośrednie niebezpieczeństwo dla kies szlacheckich i kościelnych. *Był to akt rzeczywiście rewolucyjny.* Efekt nie dał na siebie długo czekać. Szlachta i wyższy kler zastosowały opór, rozpoczęła się masowa emigracja, ucieczka bogatej szlachty, wywożącej pieniądze w bezpieczne miejsca. Rozwój powstania został zahamowany. *Zawisło ono w powietrzu i musiało chwycić się jedynego środka, który mógł dać przynajmniej masowe oparcie, wzmóc siłę militarną — trzeba było pozyskać chłopa.*

W. K. Bieńkowski.

Do przyjaciół „Epoki"

Prosimy o podanie nam adresów osób, którym należy przesłać numery okazowe „EPOKI"

Państwa Bałtyckie wobec widma wojny

Jedno z najpoważniejszych czasopism amerykańskich, poświęconych przeglądowi polityki wszechświatowej, wychodzący w New-Jorku kwartalnik „Foreign Affairs", zamieścił w ostatnim zeszycie niezmiernie ważne studium prof. Beniamina Akzina (Boston), oświetlające najnowszą orientację polityczną państw nadbałtyckich. Polityka tych państw, przeważnie sąsiadujących z Polską, nie może nam być obojętna. A nadewszystko musi być nam znana. Poniżej, po części w streszczeniu, po części w wyjątkach, dajemy informacje i wywody amerykańskiego profesora, najściślej interesujące Polskę. EPOKA

Gdy przedstawiciele różnych narodów, zamieszkałych na zachód od Rosji, zażądali w r. 1918 i 1919 niepodległości dla swych krajów, wysuwano wiele argumentów, które przemawiały za uwzględnieniem tych żądań. Jednym z nich była zasada narodowego o sobie samostanowienia, świeżo podówczas ogłoszona przez prezydenta Wilsona. Drugim, wyjątkowo miłym sercu Wielkiej Brytanii, była chęć osłabienia Rosji. Argument trzeci, specjalnie zakorzeniony w mózgu Clemenceau, łączył się z ideą otoczenia Czerwonej Rosji kordonem drutów kolczastych, mających uchronić resztę Europy od zarazy komunizmu. Argument czwarty, którego rzecznikiem stały się wojskowe koła francuskie, uzasadniał potrzebę postawienia grupy państw samoistnych między Rosją a Niemcami, dwoma domniemanymi partnerami przyszłego odwetu wojennego.

Każdy mógł więc wybierać swój osobny powód, dla którego był zwolennikiem niepodległości narodów, pragnących wyzwolić się spod zaboru Rosji. W ostatecznym obrachunku, powodem najistotniejszym, który rozstrzygnął sprawę, była skrajna w owych latach słabość polityczna Rosji Sowieckiej. Trzeba jednak przypomnieć, że wszystkie te wyzwalające się narody osiągnęły cele swe wśród powszechnego błogosławieństwa ze strony zarówno Europy, jak Ameryki. Głównym zaś powodem, dla którego kierownicy mocarstw zwycięskich tak gorąco młodym państwom pobłogosławili było pragnienie odosobnienia Rosji od pozostałej Europy, w szczególności zaś odgrodzenia jej żywą barierą od Niemiec.

Na ogół, powołane do życia państwa odpowiedziały nadziejom, które w nich położono. Wszystkie one stały się grzędą cieplarnianą dla nowoczesnego nacjonalizmu z jego przerozmaitymi zapędami i wadami. Nacjonalizm ów a także — być może — zapoznanie się miejscowej ludności z pewnymi krańcowo odpychającymi objawami wczesnego komunizmu sprawiły, że nowopowstałe państwa oparły się doktrynie komunistycznej. W jakim stopniu przyczyniły się one do osłabienia Rosji, pozostać musi rzeczą nieustaloną. Co się zaś tyczy wyznaczonej im roli przedzielenia Rosji i Niemiec, jako dwóch domniemanych sojuszników, to tę rolę spełniały one najwierniej w ciągu lat kilkunastu, od r. 1920, aż do zwycięstwa hitleryzmu w Niemczech. W okresie tym, w łańcuchu państw pro-alianckich, przeciwstawiających się zarówno Niemcom jak Rosji, brakło jednego tylko ogniwa: Litwy. Spór rządu kowieńskiego o Wilno, wcielone do Polski, wyłamywał Litwę z łańcucha solidarności i rzucał w ramiona Berlina i Moskwy.

Z chwilą osiągnięcia władzy w Niemczech przez Hitlera państwa bałtyckie nie przestały grać swej doniosłej roli w politycznym systemie Europy, ale treść tej roli uległa zmianie. Dwa potężne mocarstwa, które długo spoglądały na siebie, jako na dwóch przypuszczalnych sojuszników w przyszłej wojnie, przeobraziły się nagle w dwóch śmiertelnych wrogów. W związku z tym przeobraziła się też i funkcja państw, które między owymi dwoma mocarstwami leżą. Gdy wprzódy pełniły one rolę bariery, zapobiegającej łączeniu się dwu sił ciążących ku sobie, teraz służą za bufor, mający łagodzić i opóźniać starcie dwu potęg nieprzyjacielskich.

Czy będą mogły odraczać to starcie bez końca? Być może. Wiele dałoby się powiedzieć na rzecz angielskiej metody odkładania decyzyj stanowczych w dziedzinie międzynarodowej. Gdyż, mimo wszystko, wcale nie jest tak pewne, że „wojna przyjść musi". Któż z nas zaręczy, że nie zajdzie przewrót wewnętrzny w Niemczech, we Włoszech lub w Japonii, w jednym z krajów, które są dzisiaj głównymi ogniskami wojny? Nie jest to prawdopodobne, ale nie jest niemożliwe. Odraczanie wojny, odwlekanie jej wybuchu, stanowi przeto jedno z najważniejszych zadań dyplomacji teraźniejszej. Odwlec wojnę na pół roku znaczy częstokroć tyle, co zażegnać ją na lata. Otóż, między czynnikami, działającymi na rzecz opóźniania wojny, państwa bałtyckie zajmują wybitne miejsce.

Trudno jest zamykać oczy na to, że przy istniejących obecnie w świecie kapitalistycznym przeciwieństwach mocarstwowych wszędzie tai się aż nadto wiele materiału palnego dla rozpętania wojny; w każdej zaś wojnie europejskiej niezawodnie wezmą udział Rosja i Niemcy, jako przedstawiciele dwu stron przeciwnych: Rosja w charakterze obrońcy dotychczasowego stanu posiadania, Niemcy jako herold nowego podziału terytoriów i bogactw świata.

Jaką wówczas postawę zajmą państwa bałtyckie? Odpowiedź, którą dadzą, mieć będzie kolosalną doniosłość dla całego świata zewnętrznego, a rozstrzygające znaczenie dla nich samych. Opinia publiczna w tej dziedzinie nie jest jeszcze skrystalizowana, jakkolwiek proces krystalizacji jest w toku. Postarajmy się ująć i prześwietlić najważniejsze czynniki, działające na tym wysoce odpowiedzialnym odcinku życia międzynarodowego.

LITWA.

Położona na północ od Polski Litwa jest państwem liczącym nie więcej ponad dwa i pół miliona ludności. W porównaniu ze swą południową sąsiadką — Polską, nie stanowi ona — co do liczby mieszkańców — nawet jednej dziesiątej. W stosunku do tej to tylekroć potężniejszej sąsiadki południowej żywią Litwini zapiekłą a bezsilną urazę, zarzucając jej zabór Wileńszczyzny: dzielnicy, którą uważają

za nieodłączną część swego tradycyjnego dziedzictwa, a która stanowiła ongi ośrodek panowania wielkich książąt litewskich.

Ta niewygasła przeciw Polsce uraza jest ideą a raczej namiętnością, która nieprzerwanie przewodniczyła litewskiej polityce zagranicznej od r. 1920. Nieustalone stosunki graniczne z Polską spowodowały ze swej strony to, że dwa inne państwa bałtyckie, Łotwa i Estonia, mimo wielu wspólnych lub pokrewnych interesów z Litwą, nie spieszyły się do zbyt gorącej z nią serdeczności, aby przez to nie narazić się rządom Polski. Tak doszło do tego, że Litwa, znajdując mało życzliwości wśród swych naturalnych sojuszników lub wśród mocarstw zachodnich, sprzymierzonych z Polską, zwróciła tęskne oczy ku Niemcom, a nawet — naprzekór zasadniczym różnicom w poglądach politycznych i społecznych — ku Rosji Sowieckiej.

Praktyczny użytek jakiejkolwiek ściślejszej łączności litewskiej z imperium Stalina osłabiony był przez to, że państwa te pozbawione są wspólnej granicy: przedziela je, jak wiadomo, owa ziemia wileńska, która spać nie daje rządom kowieńskim. Co do początkowej sympatii, powziętej ku Niemcom, to ta rychło utonęła w niecierpliwości Litwinów, którym nie wystarczyła bezsilna rola męczenników. Dręczeni uczuciem, które z wyprawy na Wilno uczyniło nadzieję ich dumy narodowej, postanowili oni znaleźć częściowe choćby ujście swych ambicyj w wyprawie podobnej: zajęli Kłajpedę. Stało się to w r. 1923, w okresie, gdy Niemcy były szczególniej słabe i gdy pułki francuskie ruszały, aby wkroczyć do Ruhry. Od tego czasu — rzecz prosta — przyjaźń niemiecko-litewska wychłodła beznadziejnie.

Litwa nie tylko gniewa się na Polskę; ona także czuje wobec niej lęk. Litwa jest krajem chłopów, którzy w Polsce widzą państwo, rządzone przez kastę wielkich właścicieli ziemskich, nawykłą do przewagi nad ludem, a zwłaszcza nad ludem obcej narodowości. Polscy obszarnicy, zdaniem chłopów litewskich, chciwym i pożądliwym patrzą okiem na uprawne lub zdolne pod uprawę ziemie swych północnych i wschodnich sąsiadów, najchętniej zaś sięgnęliby po pozostałą część Litwy, kraj pozbawiony możnych sojuszników, a na domiar powiązany z Polską węzłami wspólnej religii i tradycji politycznej.

Wkrótce po zamachu na Kłajpedę, nie brak było w prasie niemieckiej głosów, wskazujących na widoki osiągnięcia ugody polsko-niemieckiej kosztem osamotnionej Litwy. W pewnych kołach planowano, puszczając wodze fantazji, że Niemcy odzyskają z powrotem prowincje, ustąpione Polsce, która, wzamian za to, weźmie odszkodowanie na Litwie. W innych kołach niemieckich wypowiadano zdanie, że Litwa będzie podzielona: Polska otrzyma część północno-wschodnią, Niemcom zaś przypadnie w udziale część południowo-zachodnia wraz z otwartą w ten sposób drogą przenikania ku Łotwie i Estonii *).

W latach ostatnich, gdy imperialistyczne prądy w Niemczech odżywają coraz potężniej i gdy doszło do skutku porozumienie polsko-niemieckie, rząd kowieński uległ wrażeniu, że niebezpieczeństwo łącznego napadu na Litwę wzrosło niepomiernie. Pod tym wrażeniem jął szukać on ratunku w przyjaźni z Rosją oraz w solidarności z Łotwą i Estonią. Ostatnio Litwa, jak słychać, byłaby niemal skłonna poniechać swych uroszczeń do Wilna, gdyby tylko zawarowano jej obecny stan posiadania, gdyby tylko mogła wyzwolić się od strachu przed uderzeniem na swe granice. W tej dziedzinie udało się jej zarejestrować pewne sukcesy. Zeszłego roku, gdy zatarg z Niemcami o Kłajpedę dosięgnął szczytu zaostrzenia, rząd sowiecki oficjalnie oświadczył, że najazd na Litwę nie byłby dla Moskwy faktem obojętnym. Z drugiej strony, Łotwa i Estonia, pobudzone nową postawą obronną Litwinów a także ich wycofaniem się z irredentystycznej polityki przeciwpolskiej, nade wszystko zaś zaniepokojone wspólnym niebezpieczeństwem niemieckiego parcia ku wschodowi, zdają się nabierać przeświadczenia o konieczności przyjścia z pomocą Litwie w razie ataku na jej granice. Rzecz jasna, że gdyby w chwili obecnej Polska stanęła na stanowisku zachowania *status quo* w stosunku do państwa litewskiego, politycy jego doznaliby wielkiej ulgi.

W jakiebykolwiek wszakże Litwa wchodziła związki przyjaźni, zawsze pozostawać będzie najdrażliwszym punktem w łańcuchu państw nadbałtyckich. Jej własna siła obronna (podobnie jak siła Łotwy i Estonii) jest szczupła. Gdy weźmiemy pod uwagę, że Litwa leży na prostej drodze połączenia między Prusami Wschodnimi a Moskwą, zrozumiemy, że każda wojna to — dla niej katastrofa, że przeto sprawa pokoju to — dla niej sprawa życia i śmierci. Czy istnieje jakiś udział czynny, którym Litwa mogłaby się przyczynić do wsparcia pokoju? Istnieje — i to w dwojakiej postaci. Po pierwsze: jak najostrożniejsza metoda postępowania na terenie Kłajpedy, wyrażająca się w unikaniu wszelkich starć, mogących wywołać lub przyspieszyć wojnę; po wtóre: stanowcze zajęcie stanowiska po stronie tych narodów, które przeciwstawiają się polityce napaści.

Byłby do pomyślenia dla Litwy i trzeci sposób przysłużenia się sprawie pokoju: wyrzec się ostatecznie Kłajpedy. Rząd kowieński nie bierze jednak celowości kroku tego poważnie. I w rzeczy samej: siły i apetyty, które tworzą zasadnicze ognisko teraźniejszego niepokoju w Europie — siły i apetyty Niemiec, prących ku podbojom — są tak olbrzymie, że próba zaspokojenia ich przez rzucenie Kłajpedy na łup cudzej zachłanności musiałaby wydać się dziecińśtwem. Ze stanowiska litewskiego, oddanie Kłajpedy Niemcom znaczyłoby tyleż, co cicha zgoda na amputację swego terytorium: cicha a zarazem bezużyteczna, gdyż ustępstwo takie w niczym nie złagodziłoby niebezpieczeństwa wojny.

Gdy wojna wybuchnie, nie będzie miejsca na neutralność litewską. Ten mały kraj stanie wobec tragicznego wyboru, jaki miała Belgia w roku 1914. W okolicznościach, które górują obecnie, nietrudno się domyślać, jaki byłby wybór Litwy: stanęłaby ona po stronie Rosji przeciw Niemcom. Tymczasem pilnie śledzi ona stanowisko, jakie zajmie Polska, nie wiedząc sama, o coby wypadało się jej modlić, gdyby modlitwą miała przeważyć szalę decyzji polskiej. Jeśli Polska — rozumują w Kownie — pójdzie

*) Celem uchylenia wszelkich nieporozumień przypominamy Czytelnikowi, że artykuł jest streszczeniem myśli prof. B. Akzina, który, ze swej strony, relacjonuje tu opinie pewnych kół niemieckich. Nie potrzebujemy dodawać, że opinie te nie miały i nie mają nic wspólnego z postawą i wolą przygniatającej większości narodu polskiego (Przypisek EPOKI).

razem z Niemcami, to wszystko przemawia za tym, że kampania będzie długa i ciężka; lecz końcowe zwycięstwo oznaczałoby połączenie Kowna z Wilnem. Jeśli Polska pójdzie z Francją i Rosją, wtenczas obraz działań wojennych zapowiada się nieco jaśniejszy, ale wynik ich nie rokuje nic, w czymby Litwa dzisiejsza dostrzec mogła triumf swoich marzeń i pragnień.

ŁOTWA.

Dwa miliony mieszkańców Łotwy, północnego Litwy sąsiada, nie zaważyłyby znacznie na szalach wojny europejskiej, lecz osobiście cieszą się oni sławą najlepszego żołnierza wschodu Europy. Pułki łotewskie były chlubą piechoty rosyjskiej w dniach wojny światowej, później zaś stały się trzonem młodej armii sowieckiej.

Strategiczną pozycję kraju określa z jednej strony wspólna granica z Rosją, z drugiej — brak takiejże granicy lądowej z Niemcami. Ponadto, rozległa linia wybrzeża bałtyckiego przedstawia miejsce dogodne dla niemieckich operacyj morskich. W ogóle, opór stawiony najazdowi Rosji pociągnąłby za sobą natychmiastowy pogrom i spustoszenie przez wojska rosyjskie przeważnej części terytorium łotewskiego, przy czym południowa część tegoż terytorium posłużyłaby prawdopodobnie za pierwszą linię starcia między wojskiem rosyjskim a niemieckim. Wystąpienie łączne z Rosją oznaczałoby przesunięcie się głównych pobojowisk na południowo-zachód, przy czym nad całym obszarem kraju zawisłoby niebezpieczeństwo ataków niemieckich od strony morza oraz z powietrza.

Sympatie narodu łotewskiego nie łączą się z żadnym z dwu domniemanych przeciwników. Rosja dawna pozostała we wspomnieniu Łotwy potęgą zaborczą, która podbitemu krajowi usiłowała narzucać swe polityczne i kulturalne władztwo; Rosja nowa przedstawia w oczach Łotysza całkowicie obcy system polityczno-społeczny. Niemcy są narodem, który wspierał niegdyś na ziemi łotewskiej butną zdzierczą klasę wielkich właścicieli ziemskich, owych baronów nadbałtyckich, będących rozsadnikiem reakcji na całym północnym wschodzie Europy. Żywotna i wpływowa rola, jaką wielu z baronów tych, uległszy wywłaszczeniu w Łotwie, zdołało uzyskać w Trzeciej Rzeszy, pod rządami Hitlera, zdaje się żywym dowodem, że nie pogodzili się oni dotąd ze swym losem wywłaszczonych, i myśl o nowej wojnie łączą z myślą o odzyskaniu dawnych majątków. Faktem jest, że Łotysze, jeśli chodzi o ich stosunki z Niemcami, tak dotkliwe wynieśli doświadczenia z przeszłości, że to nie usposabia ich do ufności na przyszłość.

Podobnie jak Estonia, Łotwa pragnęłaby pozostać poza obrębem dwu wrogich bloków, przeciwstawiających się sobie w teraźniejszej Europie, i w razie wojny próbowałaby zachować neutralność. Czy jednak strony wojujące uszanowałyby neutralność łotewską? Wolno o tym wątpić. Zbyt blisko rozstrzygającej linii bojów leży jej małe terytorium. To też, licząc się z wybuchem wojny i powątpiewając o widokach ocalenia swej neutralności, Łotwa skupia swoją myśl nad tym, w jaki sposób ocalić swą niepodległość. Czy iść razem z Rosją? Czy łączyć się z Niemcami? Na Niemcy hitlerowskie Łotysze patrzą jako na głodną, nienasyconą potęgę zaborczą, która swój głód ziemi chce zaspokoić na wschodzie. Rosja sowiecka, natomiast, wydaje się im państwem, gotowym poprzestać na swoich własnych obszarach i we własnych granicach budować swe życie. Te rozważania skłaniają ich do wniosku, że niepodległość ich kraju o wiele lepiej może być zabezpieczona przez przymierze z Rosją, niż przez przymierze z Niemcami. A jeśli wschodni sprzymierzeniec przegra wojnę? Nawet przewidywanie klęski rosyjskiej nie odwróciłoby decyzji Łotwy. Jest ona pewna, że gdyby poszła łącznie z blokiem niemieckim i gdyby blok ten zwyciężył, to po skończonej wojnie Niemcy nie opuściliby zajętego kraju. W razie przegranej Niemiec, los ich łotewskiej sojusznicy byłby, oczywiście, jeszcze bardziej opłakany, gdyż Moskwa nie omieszkałaby wówczas wziąć na niej odwetu.

Pod naciskiem tych to motywów, rząd łotewski — rząd półfaszystowskiej dyktatury — zdecydowany jest los swego kraju związać z Rosją Sowiecką a także z całym owym blokiem państw i narodów, które gotowe są bronić granic istniejących przeciw napastnikom. Wybór ten, niezależnie od swych przesłanek praktycznych, ujawnia potężną siłę nacjonalizmu, jako jednego z przemożnych czynników, kształtujących dzisiejszą opinię europejską. Niechęć Łotwy przeciwko Rosji sowieckiej jest uczuciem bezspornym; niechęć ta wyrasta z żywiołowego przywiązania chłopów łotewskich do dotychczasowych form społeczno-gospodarczych. Ale antypatia przeciw Niemcom płynie z ich troski o byt i ocalenie własnej niepodległości narodowej. Ta ostatnia antypatia góruje ponad wszystkim. Ona też orzeka o polityczno - wojskowej postawie Łotwy między dwoma blokami, szykującymi się do światowego pojedynku.

ESTONIA

Estonia ze swymi 1.200.000 mieszkańców leży na północ od Łotwy, nieco na boku od głównej widowni bojów. Ze stanowiska Niemiec, wartość jej polega na wartości bazy, jakiej mogłaby dostarczyć podczas wojny niemiecko-rosyjskiej dla uderzenia na Leningrad. Sowiety natomiast liczą się z Estonią głównie z tego powodu, że styka się ona z ich wielkim północno-zachodnim ośrodkiem przemysłowym oraz że przez jej terytorium wiodą ważne linie komunikacyjne, łączące Moskwę z Zachodem.

Pod względem polityczno-społecznym położenie Estonii jest prawie tożsame z położeniem Łotwy. Tak samo, jak jej sąsiadka południowa, musi ona dokonać wyboru, stojąc na rozdrożu między dwiema antypatiami. Fakt ten, jak również niesłychana podatność kraju na atak od wschodu zamyka przed Estonią drogę do jakichkolwiek sojuszów przeciwrosyjskich. Z drugiej strony leży ona od Niemiec o wiele dalej, niż Łotwa, stąd niebezpieczeństwo zaborów niemieckich wydaje się jej mniej naglące.

Pospołu z Łotwą i Litwą Estonia podpisała układ co do wspólnego przymierza obronnego. Wszystkie zaś te trzy państwa razem wzięły niedawno udział we wspólnej z Sowietami konferencji przedstawicieli wojskowych sztabów generalnych.

Mimo to, przedwczesnym byłoby twierdzenie, że Estonia pogodziła się już z myślą o poniechaniu neutralności. Estonia będzie broniła swej postawy ne-

utralnej aż do ostatka. Lecz jeśli obronić jej nie zdoła, to jej decyzję wojenną uważać należy za z góry przesądzoną: armia estońska pomaszeruje razem z armią Rosji, Łotwy i Litwy.

**
*

Litwa, Łotwa, Estonia — trzy kraje, trzy państwa, trzy ośrodki życia narodowego, skupionego pod znakiem troski i niepokoju o zachowanie świeżo zdobytej samodzielności politycznej. Samodzielności tej zagraża wzrastające z dnia na dzień niebezpieczeństwo starcia dwu kolosalnych bloków, mających stoczyć ze sobą bój nie tylko o nowy podział świata, ale i o dalszy kierunek jego rozwoju.

Otóż, wszystkie te trzy państwa jednoczą się w przeświadczeniu, że niepodległość ich zagrożona jest raczej przez Niemcy, niż przez Rosję. Stąd ich decyzja, aby, w razie wojny, skoro neutralności nie da się utrzymać, zająć stanowisko po stronie Rosji. Decyzja ta, rzecz jasna, spotyka się ze szczególnym uznaniem miejscowych grup socjalistycznych i komunistycznych. Powzięta wszakże została w łonie rządów, reprezentujących żywioły prawicowo-faszystowskie. Co prawda w każdym z omawianych trzech krajów bałtyckich istnieją żywioły jeszcze bardziej prawicowe, pozostające w opozycji do ustalonych rządów. Ale gdyby nawet doszły do władzy i te grupy skrajnie prawicowe, nie zdołałyby one, ani w Litwie, ani w Łotwie, zmienić panującej w nich orientacji i wpłynąć na odwrócenie sojuszów.

W Estonii, gdzie niebezpieczeństwo hegemonii niemieckiej wydaje się bardziej odległe, sukcesy prawicy opozycyjnej mogłyby wzmóc widoki neutralności; mogłyby wzmocnić dążność antyrosyjską, o ileby Rosja zaczęła ujawniać znaki rozkładu wewnętrznego lub niemocy wojskowej. Ale nawet i wówczas dążność antyrosyjska nie przeistoczyłaby się w gotowość do boju ramię w ramię z Niemcami.

Cenny instrument naukowy

Ukazał się czternasty zeszyt Polskiego Słownika Biograficznego (Tom III/4 Chęciński Jan—Chodźko Jan), wydawanego w Krakowie przez Akademię Umiejętności. Pomnikowe to wydawnictwo, zakrojone na ogromną skalę, jest na gruncie naszym wyjątkowym przedsięwzięciem. Dość powiedzieć, że słownik ten składać się będzie z 20 wielkich tomów, liczących po 500 bez mała stronic i ma obejmować około dwudziestu tysięcy życiorysów, uzupełnionych nie tylko charakterystyką ludzi, ale także wykazami bibliograficznymi. Uwzględnieni tam będą wszyscy wybitniejsi Polacy różnych czasów, stanowisk, dzielnic i warstw społecznych, którzy zasłużyli się Polsce, pracując bądź w kraju, bądź na obczyźnie, a także i ci cudzoziemcy, którzy mając na celu dobro Polski wyróżnili się na polu działalności kulturalnej, społecznej lub politycznej.

Wydawnictwo to, gromadząc w jedno życiorysy wielu tysięcy osobistości wznosi w ten sposób zbiorowy pomnik zasługi i utrwala pamięć tych wszystkich, co tworzyli tysiącletnią historię z szczególnym uwzględnieniem pracowników kultury i bojowników niepodległości Polski.

To, że Słownik Biograficzny stanowi wydawnictwo Akademii Umiejętności, daje rękojmię pełnej przedmiotowości i niezależności od jakichkolwiek tendencji stronniczych, politycznych lub moralizatorskich. Aby podołać zadaniu redakcja Słownika musiała zapewnić sobie współpracę pierwszorzędnych sił pisarskich i powołać specjalną Radę, składającą się z wybitnych znawców różnych dziedzin kultury i wiedzy, a także przedstawicieli najpoważniejszych instytucji naukowych.

Inne narody cywilizowane zdobyły się już dość dawno na podobne wydawnictwa monumentalne, będące niejako sprawdzianem dojrzałości intelektualnej społeczeństwa.

Takie galerie zasłużonych osobistości stworzyły u siebie nie tylko kraje wielkie, o znacznych zasobach materialnych jak np. Anglia, Francja, Ameryka i t. d., ale także i kraje pomniejsze, jak Belgia, Holandia a nawet Słowacja.

Akademia Umiejętności podejmując więc tak rozległe i trudne zadanie w Polsce, wymagające olbrzymiego nakładu pracy i środków, ma chyba wszelki tytuł moralny do liczenia na żywe poparcie jej usiłowań ze strony społeczeństwa. Dotąd jednak, niestety, nawet oświecony ogół, który zdawałoby się przede wszystkim powinien rękę przyłożyć do powodzenia tego dzieła, zawodzi w znacznym stopniu, zachowując postawę dość bierną i obojętną.

Z pod tego zarzutu wyłączony może być tylko ten odłam inteligencji pracującej, który wskutek zubożenia ma w ogóle utrudniony dostęp do wielu dóbr kultury duchowej, a który niewątpliwie w tym wypadku pragnąłby posiąść to wartościowe wydawnictwo. Jakkolwiek cena Słownika w prenumeracie jest bardzo przystępna *), mimo to jednak przekracza jeszcze możliwości płatnicze wielu nauczycieli, pracowników naukowych, działaczy oświatowych i t. p. Może więc godziłoby się tym kategoriom inteligencji umożliwić nabywanie Słownika przez rozłożenie prenumeraty na raty jeszcze drobniejsze, nie wyłączając także samej opłaty za pierwsze tomy z roku 1935 i 1936.

Wydaje nam się, że wydawnictwo może najbardziej liczyć na takich właśnie abonentów, oni to bowiem nie z pobudek snobistycznych, nie z chęci popisywania się pięknie oprawnymi tomami na półkach zacisznych bibliotek nabywaliby zeszyty Słownika. Wysupłaliby swe grosze, iżby posiąść źródła informacji podręcznej, posiąść jako pomocniczy i nieraz na odludziu niezastąpiony instrument naukowy, nie mówiąc już o tym, że zapisując się w poczet prenumeratorów kierowaliby się głosem obowiązku, nakazującym popierać każdy wielki wysiłek, obliczony na wzbogacenie duchowej i umysłowej kultury kraju.

To poważne i nowoczesne wydawnictwo godne jest jaknajżywszego poparcia ze strony myślącego i uspołecznionego ogółu.

*) Rocznie zł 25 za 5 zeszytów, stanowiących jeden tom; zgłoszenia nowej prenumeraty przyjmuje administracja słownika z warunkiem, że nowy prenumerator uiści odrazu należność za 1935 i 1936 r. w kwocie zł 50,—.

Hugo Kołłątaj o Polsce... dzisiejszej

Nie ma chyba działu wiedzy, w którymby zakłamanie oraz fałszowanie lub przemilczanie faktów panoszyło się tak szeroko, jak w historiografii polskiej.

Dziejopisarze nasi — z małymi, chlubnymi wyjątkami, do których po części należą uczeni tacy, jak Michał Bobrzyński, Tadeusz Wojciechowski, Szymon Askenazy, Ludwik Kolankowski — ulegają ciśnieniu otaczającej ich atmosfery społecznej, ta zaś przesycona jest wpływami tradycji szlachecko - klerykalnej, którą zwalczał nie jeden umysł światły, ale której do dni ostatnich nie przeciwstawił się skutecznie żaden zbiorowy prąd myśli krytycznej, trwale i żywotnie zainteresowany w rozświetleniu przeszłości.

Cóż dziwnego, że w naszym dziejopisarstwie roi się od cudów, podawanych za fakty, od sądów, utkanych z plotek i uprzedzeń, od pewników, będących zmyśleniem lub przesądem. Do takich zastarzałych przesądów należy twierdzenie jakoby kościół katolicki a zwłaszcza jego rzymscy zwierzchnicy od wieków żywili jakiś osobliwy sentyment dla Polski; jakoby naród nasz całą swą kulturę zawdzięczał opiece duchowieństwa rzymskiego; jakoby papiestwo i jego racja stanu były najlepszą podporą naszej polityki państwowej i narodowej.

Nie naszą jest rzeczą wyświetlać, jak olbrzymim zwyrodnieniom ulegają dotąd poglądy w Polsce na najważniejsze naszych dziejów wypadki wskutek obarczania umysłowości polskiej osadem klerykalizacji. Na co, natomiast, chcielibyśmy zwrócić uwagę tutaj, to na owo z pozoru drobne, niepostrzeżone, lecz zato codzienne, uparte — jak owa kropla, żłobiąca kamień — przenikanie wpływów klerykalnych do zasobów naszej wiedzy o świecie, zwłaszcza naszej wiedzy o przeszłości polskiej. Wpływy te sączą się tysiącznymi strumykami. Ich zaś potęga polega na tym, że są skryte, że działają poza wiedzą i kontrolą mózgów, które urabiają. Kropla po kropli, cud po cudzie, legenda za legendą, zniekształcając mózgi, wynaturzają zarazem obraz rzeczywistości, która się w nich odbija.

W tej mistyfikacji, jakkolwiek wielki udział mają fakty zmyślone, to jednak, kto wie, czy nie większą jeszcze rolę grają rzeczy, które zostały przemilczane i zatajone. W każdym razie rola przemilczeń i zatajeń jest o wiele złośliwsza, gdyż trudniejsza do zdemaskowania. Historyk, mający na celu nie tyle odkrycie prawdy, ile dogodzenie ideologii panującej, pomija poprostu fakty sprzeczne z jego tezami; w wydawanych zaś przez siebie tekstach lub dokumentach, zwłaszcza tych, które liczyć mogą na szersze koła czytelników, nie waha się skreślać i opuszczać wszystkiego, co — dajmy na to — zbyt głośno woła o nadużyciach kleru lub zbrodniach magnaterii.

Tej srogiej cenzurze zapobiegawczej ulegają dzieła największych nawet dawnych pisarzy polskich, jeśli popełnili grzech prawdomówności w opisie życia świeckich lub duchownych potentatów. Któż w Polsce nie wymawia ze czcią imienia Kołłątaja, tego ojca duchowego Konstytucji Majowej, której wspomnienie, jak klejnot, spoczęło „w arce przymierza" między dawnymi a nowymi laty? A przecież i pisma Kołłątaja ulegają „obrzezaniom", ilekroć odsłaniają w życiu duchowieństwa karty, mające poderwać jego reputację.

Do takich kart należy, naprzykład, wspaniały opis uczt, jakie niegdyś odbywały się na zamku Tenczyńskim, u pani wojewodziny Firlejowej: istna perła dowcipu i prozy kołłątajowskiej. Sensacją tych uczt balowych było to, że brali w nich udział, pospołu ze zwykłymi ludźmi, rzekomo także i wybrańcy niebios. Napróżno jednak tej znamiennej karty szukalibyśmy w jednym z ostatnich wydań słynnej pracy Kołłątaja, poświęconej jezuitom*). Historyk Henryk Mościcki, korzystając ze swych praw wydawcy, w sposób samowolny skreślił cały epizod, nie wspominając ani słowem o popełnionej samowoli. Zauważył tę lukę dr. Zdzisław Mierzyński i tekst, opuszczony przez wydawcę, przytoczył w swej świeżo ogłoszonej książce: „Wybrane żywoty książąt kościoła polskiego".

Oto ów wykastrowany epizod żywo a dosadnie obrazujący poziom obałamucenia, do którego stoczyć się może umysł bogatej sobiepani-dewotki, opętanej intrygami chytrego i chciwego zakonu:

BALE U WOJEWODZINY FIRLEJOWEJ

Firlejowa była panią całego hrabstwa Tenczyńskiego; mieszkała w Tenczynie, w zamku o trzy mile od Krakowa odległym, w którym znajdowała się kaplica publiczna, obszerne pańskie mieszkanie, zamknięte fortecą wedle zwyczaju owego wieku.

Jezuici opanowali tę słabą duszę. Firlejowa pierwej im oddała swoje sumienie, potym swoje majętności i dochody.

Odosobniona od całej społeczności żyła tylko z swoim ojcem duchownym, jezuitami lub innymi osobami, które on chciał dopuścić. Był już od tego wyznaczony jezuita, który pilnował zwodu przy zamku Tenczyńskim. Nikomu tam nie było wolno przystąpić, póki nie zdał sprawy dozorcy. Wszystkie rzeczy i interesa doczesne załatwiał inny jezuita, który był komisarzem w dobrach.

Firlejowa rozmyślała tylko o rzeczach niebieskich, dziękując mnichom, że przyjęli na siebie ciężar zatrudniać się marnościami tego świata. Ojciec duchowny utrzymywał ją zawsze w tej nadziei, że prowadząc podobne życie, przyjdzie nakoniec do tak szczęśliwego stanu, że będzie miała wizje niebieskie i obcowanie z świętymi.

Jakoż w samej rzeczy przyszło do tego, że Firlejowa rozumiała obcować z św. Alojzym i z św. Stanisławem Kostką. W rzeczywistości byli to nowicjusze od św. Macieja, których czasami posyłano do Tenczyna, aby się w postaci świętych objawiali pobożnej dewotce. Wizje te bardzo się podobały Firlejowej. Święci do takiej przyszli poufałości, że nawet biesiadowali w licznym gronie. Nieraz dała się słyszeć niebieska muzyka; nieraz pobożna pani tańczyła z św. Alojzym lub z św. Stanisławem Kostką.

Ojciec duchowny do tego stopnia utwierdzał ją w tej wierze, iż pewną była, że te wszystkie niebieskie słodycze były nagrodą jej nabożeństw.

Kiedy przez lat wiele jezuici korzystali z dochodów Firlejowej, a dewotka z wizyj niebieskich, zazdrość postronna szukała sposobu, jakby pomięszać

---

*) H. Kołłątaj: „Stan oświecenia w Polsce w ostatnich latach panowania Augusta III". Wydanie Henryka Mościckiego.

tak przyjemne życie... Mimo najbaczniejszy jezuitów dozór, rozchodziły się przecież wieści o życiu Firlejowej, żywo pogrzebanej w zamku Tenczyńskim. Daremnie narzekali dawni słudzy: nikt nie mógł przeszkodzić wszechwładzy zakonników.

Jeden przecież laik od karmelitów bosych podjął się oswobodzić Firlejową, mimo jej zezwolenia i wykurzyć jezuitów z Tenczyna. Wywiedział się on, którego dnia odprawia się zwykła niebieska na zamku biesiada; kazał sobie zrobić dwa wielkie klucze i one pozłocić. Przygotował sobie domino, któreby go w stroju oddało podobnym św. Piotrowi; wziął z sobą kursora konsystorskiego na świadectwo, żeby potym jezuici nie zaparli wszystkiego, co się działo. Zjechał oznaczonego dnia wieczorem i udał się prosto do księdza komisarza, prosząc o jałmużnę i przenocowanie. Wskazano mu stancję u margrabiego, z którym już wprzódy udało mu się nawiązać porozumienie. Laik napił się dobrego wina dla nabrania śmiałości i dobrego humoru i spokojnie czekał, aż po długich modlitwach Firlejowej zstąpili na ziemię niebiescy goście, i zaczęła się w zamku duchowna biesiada. Wtenczas, przeprowadzony od margrabiego, przypatrywał się z pomniejszego pokoju wszystkim zabawom.

Trwała w późną noc wspaniała kolacja. Ku północy dały się słyszeć śpiewania i niebieska muzyka, zaczęły się tańce. Firlejowa poszła w pierwszą parę ze św. Stanisławem Kostką. Dalej ojcowie duchowni z pannami Jaśnie Wielmożnej Pani, i niebywała kompania w najlepszym znajdowała się humorze, gdy dało się słyszeć brzęczenie i stukanie drzwiami po odległych pokojach, jakiego nigdy do owego czasu nie słyszano. Zbliżał się coraz bardziej głos i stukanie, które swą nadzwyczajnością przysposobiło do bojaźni całą kompanię. Nareszcie ukazał się św. Piotr, jako go zazwyczaj malują: łysy, w niebieskiej sukni i z wielkimi kluczami. Murgrabia i inni słudzy, którzy do sekretu należeli, chcąc powiększyć bojaźń, padli na ziemię. Firlejowa zmięszała się na widok św. Piotra, który dopadłszy mniemanego św. Stanisława Kostki, obkładał go bez litości kluczami, narzekając, że dla jego zabaw nie może nieba tak długo trzymać otworem, aż nareszcie biedny nowicjusz zaczął płakać... Wtenczas karmelita oświadczył mu, że go póty bić będzie, póki się nie przyzna przed tą pobożną duszą, którą tak zwodził, kto jest w samej rzeczy. Nie trzeba było długo nad nowicjuszem pracować. Wyznał swoje nazwisko, zgoła odkrył całą scenę z zawstydzeniem wszystkich obecnych jezuitów, którzy przez tyle lat robili sobie igrzysko z pobożnej, lecz słabej duszy.

Wtenczas laik karmelicki rzekł do nowicjusza jezuickiego:

— Skoro ty przestałeś być św. Stanisławem Kostką, i ja przestaję być św. Piotrem i opowiem wszystko JWPani, kto jestem i dlaczego osobę św. Piotra na siebie przybrałem. Jestem laik karmelicki. Dostałem się do tego zamku za kwestą. Narzekania służących nauczyły mnie, co za dziwactwa jezuici z JWPanią robią. Widziałem, że nie tylko nadużywają dobroci twojej, ale nawet czynią zgorszenia fałszywymi cudami. Już się to poza zamek daleko rozeszło, że nowicjusze jezuiccy udają świętych pańskich i zwodzą JWPanią, z czego się cały świat naśmiewa. Teraz, odchodząc, zostawiam woli JWPani czynić, co się podoba. Mnie nie można nic złego zrobić, bo mam z sobą kursora konsystorskiego na świadectwo.

Słuchała z cierpliwością tej mowy Firlejowa, spoglądając na zawstydzonych jezuitów, a obrażona tak długim swej osoby igrzyskiem, tej samej nocy wszystkich jezuitów do Krakowa odesłała. Laika karmelickiego osadzono w apartamencie komisarza, sprowadzono parę karmelitów, którzy zastąpili miejsce ojców duchownych.

Firlejowa jednak z zamku swego więcej nie wyjeżdżała; ze swymi krewnymi widzieć się nie chciała. Przepędziła resztę życia z karmelitami; wystawiła dla nich wspaniały klasztor, opatrzyła go bogatym funduszem i w tym nowym kościele pogrzebać się kazała.

Tyle Hugo Kołłątaj...

***

Dlaczego historię powyższą przytoczyliśmy prawie w całości? Czy tylko dla walorów soczystej, jędrnej prozy kołłątajowskiej? czy tylko poto, aby pokazać naocznie, jak nasi historycy, wydawcy i komentatorzy, kastrują dawne teksty ze wszystkiego, coby mogło być niemiłe klerowi oraz możnym jego protektorom i protegowanym? Tak, rzecz jasna. Epizod, opowiedziany przez Kołłątaja, ma sam przez się wyborny smak i koloryt malowidła, chwytającego nasz wiek XVIII niemal na gorącym uczynku; jako zaś dowód faryzeuszostwa naszych dziejopisów, jest wręcz uderzający.

Ale nam chodziło także o coś więcej. O to, co nieraz da się wyrazić najlepiej właśnie językiem przypowieści i analogii.

Uprzytomnijmy sobie, w samej rzeczy, ten starodawny zamek Tenczyński, opanowany przez ojców duchownych, wyzyskiwany przez sutanny i habity; ten dwór starej możnej dewotki, która klerowi oddała naprzód swój umysł i sumienie, a potym swe dochody i majętności, uprzytomnijmy sobie także tę nieustanną inflację cudów, które otumanionej władczyni zamczyska zastępują wszelką styczność z rzeczywistością; wspomnijmy wreszcie zupełne tej siedziby odosobnienie, ów most zwodzony, którego, jako jedynej komunikacji ze światem zewnętrznym, pilnuje specjalny wyznaczony ku temu jezuita: ogarnijmy ten cały splot okoliczności i warunków — czyż to nie żywy w miniaturze wizerunek naszej Rzeczypospolitej, uginającej się pod równie wszechstronną opieką żądnego władzy klerykalizmu? I patrzcie! Podobieństwo w szczegółach idzie tak tak dalego, że w obrazie hrabstwa Tenczyńskiego nie brak nawet elementu szemrania i oporu, uosobionego w sługach, którzy buntują się przeciw inwazji faryzeuszów. Ten opór, idący z dołu, czyż to nie odpowiednik teraźniejszej postawy chłopów i robotników, tych pracowitych sług Rzeczypospolitej, którzy w hegemonii kleru i samowoli biskupów widzą zaporę na drodze swego rozwoju?

Rozbieżność obrazów zaczyna się dopiero tam, gdzie jawi się myśl wyzwolenia. W przypowieści kołłątajowskiej przychodzi ona w osobie laika od karmelitów, który fałszywych cudotwórców pobija ich własną bronią i umysł dewotki, oswobodzony z opresji jednego zakonu, zagarnia na rzecz drugiego.

Lud Polski nowoczesnej nie liczy na żadne cuda, ani prawdziwe ani mniemane. Wie, że wyzwolenie osiąga ten tylko, kto je zdobywa własną wolą i zabezpiecza własną siłą. *A. Grot.*

Rozmowa z wójtem

Wiemy, niestety, że uświadomienie społeczno - polityczne chłopa w Polsce, jakkolwiek idzie naprzód wielkimi krokami, nie wszędzie stoi jeszcze na wysokości zadania, jakie chwila obecna przed nim stawia.

Z tym większą radością rejestrujemy objawy dostrzeżone w tej dziedzinie na kresowej wsi polskiej. Spostrzeżenia nasze, dotyczące jednej z gmin pow. lidzkiego w większym lub mniejszym stopniu odniesione być mogą do terenu całego powiatu i nie tylko powiatu.

Postęp samowiedzy wśród chłopów dokonywa się tu głównie przez akcję oświatową, samorząd i organizacje wiejskie.

Gmina Żyrmuska.

Jeżeli chodzi o stan posiadania ziemi przez tutejszą ludność, to jest to typowa gmina kresowa.

Jak już wspomniałem w innym felietonie na temat tutejszych stosunków społecznych, 60% ogólnej ilości tutejszych gospodarstw, stanowią gospodarstwa karłowate poniżej 5 ha, 50% zaś ogólnego obszaru gminy zajmuje większa własność.

A więc z jednej strony na połowie lepszej ziemi rozsiadło się kilkunastu możnych (12 majątków i 15 folwarków) z drugiej zaś połowę gorszego obszaru rozdrobiono aż do granic tragicznej śmieszności pomiędzy tysiące gospodarstw chłopskich.

Temu paradoksowi podziału odpowiada drugi paradoks stosunków gospodarczych i możliwości życiowych ludności tej gminy.

Ziemianie gospodarują źle, marnotrawiąc gospodarcze możliwości dużych obszarów i podtrzymując najczęściej swą stosunkowo wysoką stopę życiową dewastacyjną eksploatacją lasów. Gospodarstwa karłowate również gospodarują źle, bo trudno gospodarować dobrze na 1/2, 1, czy 2 hektarach ziemi.

Rezultat ogólny: niewyzyskana należycie gospodarczo gleba, dewastacja lasów prywatnych, głód wśród olbrzymiej większości tutejszych chłopów.

Chłopi, ziemianie i kler.

Pan Urbański, wójt gminy żyrmuńskiej jest jednym z bardzo niewielu wójtów, jakich wieś mieć powinna. Jest to miejscowy działacz społeczny, nie polityk, typ człowieka rozsądnego, społecznie głęboko uświadomionego, i, co najważniejsza, nie jest to przybyły z innych stron dymisjonowany wojskowy, ale człowiek tutejszy, który dobrze zna życie wsi i jest świadomy procesów, jakie w niej zachodzą.

Przyjmuje mnie szczerze, swobodnie informując szczegółowo o sytuacji gospodarczej gminy.

— Mimo majątkowo złej sytuacji gospodarczej — mówi wójt Urbański, gmina żyrmuńska wywiązuje się dobrze z zobowiązań podatkowych. W ubiegłym roku budżetowym procent opłaconych podatków wyniósł 97, czyli był b. dobry. Najuboższy gospodarz rozumie, że trzeba płacić podatki i robi to bez przymusu.

— A jakie są nastroje pod względem społecznym i politycznym tutejszej ludności — pytam.

— Ludność małorolna w gminie jest politycznie i klasowo uświadomiona. Na obiecanki ich nikt nie weźmie. Jej stosunek do tutejszych ziemian jest stosunkiem spokojnego przeciwstawiania się. Cechuje ją ponadto kompletny brak uniżoności, spotykanej gdzieindziej u chłopów w stosunku do dziedzica.

— Panom nie treba wierić — mówią i tej zasady się trzymają przy wszelkiego rodzaju wyborach swoich reprezentantów.

Poza tym ludność tutejsza przejawia żywe zainteresowanie sprawami społecznymi i ogólno - pastwowymi. Chętnie garnie się do spółdzielczości (obrót miejscowej Spółdzielni Spożywców wyniósł ponad 40 tys. zł.), bierze udział w wycieczkach organizowanych przez samorząd. Swego czasu dość duża liczba osób zapisała się na wycieczkę do Liskowa.

A tymczasem miejscowi ziemianie nie biorą żadnego udziału w życiu naszej gminy. Do spółdzielni nie należą, do zarządu gminy nie zaglądają.

Nawet w ogólnej akcji zimowej pomocy bardzo niechętnie brali udział, a niektórzy wykręcali się od niej wszelkimi sposobami.

Zagadnięty o sprawy parcelacyjne wójt Urbański, mówi:

— Na każdym zebraniu gminnym małorolni wieśniacy krzyczą wprost o parcelację. Wielkie różnice posiadania zbyt wyraźnie ich drażnią. A tymczasem przy dobrowolnej parcelacji kupują tylko bogatsi. Ci, co mają po 15 czy 20 ha, zdobywają się jeszcze na kupno 2 czy 5 ha. Uboższy gospodarz nie kupuje, bo i za co?

— Ziemia droga, za hektar trzeba płacić 400 — 500 zł. Jest rzeczą nie do pomyślenia, aby ubogi chłop mógł się na taki wydatek zdobyć. Również komasacja idzie w tych warunkach opornie. Gospodarstw nieskomasowanych mamy w gminie 65%. Grunt rozrzucony w 30 i więcej kawałkach znajduje się często o 5 klm. od siedziby. W związku z taką sytuacją w stosunkach rolnych mnożą się przestępstwa polne i leśne, oraz przestępstwa na tle sporów o ziemię. Na 12 tys. ludności w gminie zebrało się do wykonania z okresu 3 lat 1888 tytułów sądowych.

— W naszych warunkach — dodaje wójt — bez zasadniczej zmiany ustroju rolnego nie pomoże i 10 agronomów w gminie, nie tylko jeden, jak radzi gen. Żeligowski.

Mówiąc o akcji budowania szkół wójt Urbański wyraża się z podziwem o entuzjazmie nawet tej najuboższej ludności gminy, jaka towarzyszy zwykle przedsięwzięciu budowy gmachu szkolnego.

— Ludność tutejsza nie żałuje ani ofiar materialnych, ani pracy nad wzniesieniem gmachu szkolnego, który ma służyć dla ich dzieci.

Przy tej okazji mój rozmówca zatrzymuje się dłużej nieco nad okolicznościami, towarzyszącymi budowie gmachu szkolnego we wsi Ossowie.

— W Ossowie nie było placu pod szkołę, zwróciliśmy się więc do Kurii Metropolitarnej w Wilnie, aby pozwoliła budować szkołę na placu parafialnym. Gdy zgodziła się Kuria, wówczas sprzeciwił się miejscowy proboszcz ks. Sykstus Hanusowski. Roboty wstrzymano, drzewo zakupione na szkołę leży. Miejscowa ludność jest oburzona i powtarza sobie w rozgoryczeniu: „Dołhopołych sam czort nie zaspokoi".

Jan Duchnowski.

List otwarty do kolegów profesorów

JWPanów profesorów: Cz. Białobrzeskiego, E. Bulandy, St. Brzozowskiego, S. Dziubałtowskiego, St. Dąbrowskiego, J. Dobrowolskiego, L. Ehrlicha, St. Gołąba, J. Gwiazdomorskiego, O. Haleckego, Br. Janowskego, J. Jarzębskego, St. Kasznicy, Wł. Koskowskiego, St. Kutrzeby, K. Wł. Kumanieckiego, Z. Lisowskiego, M. Matakiewicza, St. Moszczeńskiego, Z. Markowskiego, A. Ohanowicza, A. Ponikowskiego, A. Pszenickiego, L. Piotrowicza, R. Renckiego, P. Rytla, J. Rostafińskiego, St. Strońskiego, J. Smoleńskiego, M. Sankowskiej, W. Staniszkisa, Wł. Tatarkiewicza, K. Tichego, K. Wątorka, K. Weigla, B. Winiarskiego, Al. Wielhorskiego, Wł. Woltera, Ad. Vetalaniego, K. Zipsera, Fr. Zolla.

W.Szanowni Panowie Profesorowie i Koledzy!

Ogłosiliście odezwę, wzywającą profesorów, docentów, adiunktów i asystentów naszych szkół wyższych do wzięcia udziału w pielgrzymce do Częstochowy, by „w kornej modlitwie u stóp Matki Najświętszej... we wspólności przekonań religijnych, łączącej Was z młodzieżą, czerpać nadzieję rozwiązania dotyczących Was zagadnień".

Wierzycie zatem, że Wam i Waszej młodzieży pomoże w „rozwiązaniu dotyczących Was zagadnień" Królowa Korony Polskiej. Wierzycie również, że dla Was i Waszej młodzieży płynie „światło... z Jasnej Góry najobfitszym... strumieniem". Dobrze. Wierzcie. Umiem uszanować wszelkie wierzenia, oczywiście, jeśli są szczere. Nie zamierzam też podawać tu w wątpliwość owej szczerości. Nie zabierałbym zatem głosu, gdybyście, Panowie Profesorowie i Koledzy, poprzestali w Swej odezwie na daniu wyrazu temu właśnie wyrażonemu wyżej wierzeniu.

Nie mogę wszakże milczeć ze względu na pewne ustępy Waszej odezwy i mianowicie przede wszystkim ze względu na następujące słowa: „Wierzymy mocno, że nie tylko niema sprzeczności między nauką i wiarą, ale obie uzupełniają się wzajemnie w ścisłym współdziałaniu, bo wiara odpowiada nam na te najistotniejsze pytania, wobec których nauka zawsze stoi bezsilna. To też powszechne dziś w nauce dążenie do syntezy nie może się obejść bez tego światła, które u nas w Polsce właśnie z Jasnej Góry najobfitszym płynie strumieniem".

Nie mogę zaś milczeć dlatego, że, przemawiając jako naukowcy, użyliście wyrazu wieloznacznego, bez dokładniejszego sprecyzowania jego znaczenia. A przecież od naukowców przede wszystkim wymaga się właściwego używania terminów. Kto tego nie czyni, ten nie służy nauce i ten nie szerzy światła...

Że termin *nauka* użyliście w znaczeniu „teoretycznym", a nie „praktycznym", np. „nauka czytania i pisania", lub „nauka tańców" — o tym nie potrzebuję tu nadmieniać. Ale w jakim znaczeniu użyliście wyrazu *wiara* w zdaniu: „niema sprzeczności między nauką i wiarą"?

Z każdego większego słownika z łatwością możecie się przekonać, że wyraz *wiara* jest wieloznaczny, a zatem, że wieloznacznym jest również i owo zdanie. A jeśli jest wieloznacznym, to nie oświeca, lecz spowoduje zamęt. A ten stan rzeczy nie jest pożądany.

Słownik Lindego z początku XIX wieku podaje pięć znaczeń wyrazu *wiara;* Słownik Wileński z roku 1861 — osiem znaczeń; wreszcie Słownik Warszawski (w tomie VII-ym z roku 1919) podaje dziesięć znaczeń. Z tych dziesięciu znaczeń cztery nie mogą tu wchodzić w rachubę.

Jeśli zatem w odezwie Swej przez wyraz *wiara* rozumiecie n a t u r a l n e zjawisko psychiczne, które możnaby zdefiniować ogólnie jako wysoki wzgl. najwyższy stopień przekonania — to niema sensu zestawienie czy przeciwstawienie *wiary* i *nauki.*

Jeśli zaś przez *wiarę* rozumiecie to, również n a t u r a l n e, ustosunkowanie się uczuciowe do tej reszty, na którą odpowiedzi nauka nie daje (r e l i g i a w znaczeniu subiektywnym jako wewnętrzny stosunek człowieka do Boga wzgl. Niewiadomego) — to zestawienie powyższe czy przeciwstawienie jest bez kolizji, gdyż jedno (religia) należy do sfery uczucia wzgl. życia uczuciowego, drugie (nauka) — do sfery rozumu wzgl. do życia rozumowego. I o tym już d a w n o p o w s z e c h n i e w i a d o m o. Poco więc bałamucić ludzi problemem, który nie istnieje?

I jeśli dalej rozumiecie przez wyraz *wiara* łaskę wzgl. cnotę n a d p r z y r o d z o n ą, posiadaną przez daną duszę w myśl określenia katechizmowego: wierzyć to znaczy uznawać za prawdę to, co kościół święty do wierzenia podaje, a więc jako akt n a d n a t u r a l n y — to również niema sensu zestawienie czy przeciwstawienie *wiary* i *nauki.*

Jeśli zaś wreszcie przez *wiarę* rozumiecie określoną pozytywną religię (r e l i g i a w obiektywnym znaczeniu, jako ogólny termin dla pojęć religijnych, przepisów i zwyczajów) wzgl. wyznanie — to sprawa przedstawia się znowuż inaczej, i to zasadniczo inaczej, bo każde wyznanie posiada swoją naukę, swoją doktrynę, swoją teologię. Zaznaczyłem już wyżej, że *wiara* wzgl. religia jako uczucie nie jest w sprzeczności z nauką, gdyż jest zjawiskiem należącym do innej sfery życia ludzkiego; ale teologia *recte* teologie toć przecież produkty rozumu ludzkiego, jak i owe nauki, którym przeciwstawiliście wiarę. A zatem mielibyście w ostatnim wypadku zestawienie czy przeciwstawienie: *teologia* i *nauka.* A jeśli tak, to zapytuję czy doprawdy pozytywne teologie „dopełniają" naukę: czy nie są Wam, Panowie Profesorowie i Koledzy, znane twierdzenia teologiczne sprzeczne z nauką i odwrotnie?

A jeśli są one Wam znane, to czy w historii twierdzeń teologicznych i w historii twierdzeń naukowych ustępowały prawdy teologiczne naukowym czy naukowe teologicznym?

Bo jeśli było tak, że prawdy teologiczne ustępowały prawdom naukowym — to zapytuję, czy światło płynące z teologii nie jest w części co najmniej ciemnością wobec światła nauki i czy podkreślanie przez Was wartości teologii, w wypadku zrównania: *wiara* = *teologia,* nie jest oddaleniem się od światła?

I jeszcze jedno. Skoro mówicie o świetle, które „w Polsce właśnie z Jasnej Góry najobfitszym płynie strumieniem", a przedtym zrobiliście zestawienie nauki i wiary, a więc i teologii — zapytuję, jakimi obiektywnymi kryteriami, bo od naukowców spodziewać się tego należy, kierowaliście się w uznaniu prawdziwości tego światła, a zatem i nieprawdziwości innego? Czy możecie obiektywnie stwierdzić, która religia wzgl. wyznanie jest prawdziwe, a które nie? Bo jeśli w wartościowaniu Waszym kierowaliście się nie momentami obiektywnymi, lecz subiektywnymi, to poco był potrzebny ów passus o nauce?...

Na zakończenie pozwolę sobie przytoczyć złote słowa profesora Baudouina de Courtenay: „Pod działaniem teologii ulatnia się religijność, pod działaniem logiki i matematyki (t. j. nauki) ulatnia się teologia".

Łączę wyrazy szacunku i poważania

Henryk Ułaszyn.

Poznań, dn. 12.VI.37.

Postscriptum. Ogłaszam pismo to z opóźnieniem: nie chciałem bowiem zakłócać werbowania profesorów, docentów, adiunktów i asystentów do pielgrzymki na Jasną Górę. Z nowymi też nazwiskami w prasie się nie spotkałem; ani z notatką o dokonanej pielgrzymce.

H. U.

Poznań, dn. 30.VI.37.

Wydarzenia i dokumenty

WYŚCIG NAD PRZEPAŚCIĄ.

Z okazji konfliktu chińsko - japońskiego aktualności szczególnej nabierają słowa, którymi kończy głośną książkę — p. t. „Japonia" — jeden z najwybitniejszych reporterów dzisiejszych w wielkim stylu, Anton Zischka. W ciągu ostatniego półwiecza Japonia połknęła Formozę i Koreę, strawiła Mandżuko, a teraz sięga już po północne Chiny. Ekspansja ta jest wyrazem siły Japonii. Czy tylko siły? Oto, co pisze Zischka:

W mocy Japonii tkwią zarodki słabości. Do upadku Rosji carskiej przyczyniły się w głównej mierze uciśnione przez nią narody nierosyjskiego pochodzenia, które stanowiły 53 proc. ludności tego państwa. Podobnie w upadku Austro-Węgier odegrały rolę uciskane narody słowiańskie. **Takie samo niebezpieczeństwo grozi Japonii:** 65 milionów Japończyków, zamieszkałych na wyspach, ujarzmiło 55 milionów Koreańczyków i Mandżurów. I tak samo jak w Rosji, większość rewolucjonistów rekrutuje się z tych podbitych narodów.

Wewnętrzną walkę w Japonii przyrównać można do wyścigu, nieobliczalnego w skutkach. Jest to wyścig ewolucji duchowej i materialnej. Gdyby w tym kraju wybuchła rewolucja i sięgnęła w głąb stosunków japońskich, wówczas możnaby utrzymać prawdopodobnie pokój świata. Jeśli Japonia zdoła się opamiętać, jeśli powróci do swych granic i otworzy wrota wolności w terytoriach, jakie już posiada...

Słowem, gdyby Japonia poniechała **swego pędu ku zgubie** lub ku władzy nad światem, co będzie wcześniej lub później równoznaczne, wówczas mógłby zapanować spokój.

Japonia osiągnęła wielkość swą szybciej niż jakikolwiek inny naród na ziemi. Anglia, później Niemcy, a w końcu Japonia — wszystkie te państwa kroczyły tą samą drogą, marząc o „pokojowym" podboju świata, śniąc sen o wszechwładzy swego handlu. A potem przyszło przebudzenie. Rozwiał się sen o potędze, przyszła wojna, polała się krew... „Jakiż los czeka Japonię? Prawdopodobnie — krew i cierpienie, a to cierpienie będzie zarodkiem najcięższych wstrząsów, jakich biała rasa nie doświadczyła od czasów Dżyngis Chana. Wstrząsy te są nieuniknione".

WALKA Z TWÓRCZOŚCIĄ.

W mowie, wygłoszonej na otwarcie monachijskiego Domu Sztuki, kanclerz Hitler ostro napiętnował pewne — w jego mniemaniu — zboczenia sztuki. Chodziło Hitlerowi przede wszystkim o tych artystów, którzy „malują łąki niebieskie, niebo zielone, chmury żółte i ukazują postaci dzisiejszego ludu niemieckiego jako urodzonych kretynów".

„W imieniu narodu niemieckiego" kanclerz Hitler odmówił tego rodzaju twórczości miana sztuki. Albo owi „rzekomi twórcy" widzą rzeczy tak, jak je przedstawiają i wówczas należy zbadać czy wada ich wzroku i widzenia spowodowana została urazem mechanicznym czy też jest odziedziczona; w drugim wypadku winien wtrącić się minister spraw wewnętrznych i zadać sobie pytanie, czy nie należy przynajmniej zapobiec dalszemu dziedzicznemu przekazywaniu owej wady widzenia.

Albo też owi artyści świadomie ukazują rzeczywistość w dziwacznym kształcie i wówczas winni podlegać prawu karnemu.

Sprawa przedstawia się tedy tak: jeśli twórca niewłaściwie widzi niebo i łąki, chmury i ludzi — czeka go obóz koncentracyjny, a w najlepszym razie sterylizacja!

PETYCJA INTELEKTUALISTÓW.

Ostatnio skierowana została do rządu angielskiego szeroko umotywowana petycja, żądająca rozpisania międzynarodowej ankiety w sprawie „zasadniczych przyczyn rywalizacji między narodami oraz źródeł niepokoju":

„Ministrowie J. K. Mości winni podjąć inicjatywę takiej ankiety, zapraszając do udziału w niej wszystkie suwerenne państwa, dominia oraz kolonie. Należy powołać komisje ekspertów dla ustalenia i zbadania podstawowych problemów w dziedzinie rywalizacji o surowce i rynki światowe, w dziedzinie kolonialnej, wymiany międzynarodowej oraz polityce ludnościowej.

„Wyrażamy najgłębsze przekonanie, że bezstronne i sprawiedliwe rozważenie wszystkich tych problemów i słusznych żądań, oraz sam przykład Wielkiej Brytanii przyczyni się do przywrócenia zaufania i stosunków dobrej woli między narodami".

Pod petycją widnieją podpisy wszystkich niemal arcybiskupów Anglii, najwyższych dostojników kościoła, rektorów uniwersytetów, członków obu Izb parlamentarnych, znanych pisarzy i publicystów oraz licznych organizacyj społecznych.

NAUKA W JARZMIE NIEWOLI.

Z okazji dwuchsetnej rocznicy założenia uniwersytetu w Getyndze odbyły się tam uroczystości jubileuszowe. Pisaliśmy już o upokarzającej odpowiedzi, jaką dały uniwersytety krajów wolnych na zaproszenie wzięcia udziału w tych uroczystościach. Odpowiedzi były umotywowane i bynajmniej nie osłaniały frazesami zdawkowej grzeczności bardzo bolesnej prawdy dla dzisiejszej nauki niemieckiej. Uderzać tu musi tym dotkliwiej, że między uczonymi obowiązują formy wyszukanej kurtuazji. Zwłaszcza angielscy uczeni wyraźnie napiętnowali nowe zwyczaje hitlerowskie narzucone uniwersytetom niemieckim.

Dla nikogo nie jest tajemnicą, że po roku 1933 w ciągu bardzo krótkiego czasu pozbawiono katedr blisko 1700 profesorów z przyczyn, nie mających z nauką nic wspólnego: bądź więc za „szkodliwe" przekonania polityczne, bądź też za nie „nordyckie" pochodzenie. W uniwersytecie w Getyndze usunięto 50 zgórą profesorów, nie wyłączając uczonych światowej sławy i laureatów nagrody Nobla. Tamtejszy wydział matematyczny, chlubnie zasłużony dla nauki i cieszący się wielką powagą wśród uczonych całego świata, obecnie upadł zupełnie wskutek braku odpowiednich profesorów.

Niektórzy uczeni angielscy odpowiedzieli na zaproszenie słowami wyraźnego oskarżenia i potępienia: „uniwersytet niemiecki jest obecnie batalionem, przygotowującym się do przyszłej wojny, i zamiast przybytku nauki stanowi umysłowy obóz koncentracyjny".

Tę opinię uczonych angielskich potwierdza nowe zarządzenie ministerstwa oświaty, które z piśmiennictwa naukowego zamierza uczynić instrument partyjny. Minister Oświaty dr. Rust i przewodniczący partyjnej komisji kontrolującej, powołanej dla ochrony piśmiennictwa narod.-socjalist., porozumieli się co do wyznaczenia orientacji politycznej całej literaturze naukowej, pedagogicznej i popularyzatorskiej. W celu dopilnowania tendencji hitlerowskiej w piśmiennictwie naukowym ukonstytuował się specjalny komitet, składający się z urzędników ministerstwa i przedstawicieli partii.

INTERWENCJA PSYCHIATRÓW.

Brytyjskie Towarzystwo Lekarskie domaga się utworzenia przy Lidze Narodów międzynarodowej organizacji bada-

nia psychologii wojny. Sporządzona w tym duchu petycja zaczyna się od słów: „wojna jest barbarzyńska. niszczycielska i zgubna zarówno dla zwycięzcy, jak i zwyciężonego". Czy zorganizowana ludzkość nie może na innej drodze rozstrzygać swych sporów? Czy cywilizacja i kultura mają być cienką tylko powłoką? Zadaniem lekarzy, powołanych do ochrony zdrowia ludzkości, jest oduczyć ją wojen, zarówno tych, które wynikają z chorobliwej ambicji i kultu fałszywego bohaterstwa, jak tych, które wybuchają z przyczyn ekonomicznych. Lekarze winni wziąć udział w wychowaniu nowej ludzkości.

Wojna jest dziełem zbrodniczego obłędu ludzkości, a skoro zadaniem medycyny jest leczyć wszelki obłęd — nie może ona uchylić się od leczenia i badania patologicznej psychologii wojny".

ŚWIADECTWO SIŁY CZY SŁABOŚCI?

Londyński „Manchester Guardian Weekly" podaje interesującą wiadomość o klęsce, jaką ponosi włoski podbój w Abisynii. Dwie są przyczyny, które przesądzają o niepowodzeniu, głośno reklamowanych zamierzeń Włoch na terenie podbitej Etiopii.

Przede wszystkim — dzieło podboju militarnego dalekie jest jeszcze od kresu. Ludność tubylcza nie uznała się dotąd za niewolników i w coraz to innych częściach kraju wybuchają bunty i powstania.

Następnie — wyczerpane finansowo Włochy nie mogą strawić abisyńskiego łupu. Zorganizowano co prawda szereg placówek eksportowych i importowych na terenie Abisynii, lecz od kilku miesięcy Banca d'Italia — mimo przyjętych zobowiązań i obietnic — nie jest w stanie dostarczyć owym placówkom niezbędnych dewiz zagranicznych. Od marca Banca d'Italia dostarczyła nikłą zaledwie część sum, potrzebnych na opłacanie transportu i cła.

Zarówno militarny, jak ekonomiczny podbój Abisynii — pisze „Manchester Guardian Weekly" — czyni postępy zadziwiająco powolne. Doświadczenie ostatnich dwunastu miesięcy wykazało, że środki jakimi rozporządza państwo włoskie, są niewystarczające dla tego celu".

Zamiast — jak chce Mussolini — być probierzem potęgi Włoch dzisiejszych, Abisynia może rychło stać się świadectwem ich słabości.

OŚWIADCZENIE.

Pomimo parokrotnych naszych oświadczeń, że „Epoka" nie jest organem masonerii, niektóre pisma wciąż powtarzają tę plotkę. Ponownie oświadczamy, że „Epoka" nie jest organem masonerii i że nikt z członków redakcji „Epoki" do masonerii nie należy.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Józef Piłsudski: Pisma zbiorowe. Wydanie prac dotychczas drukiem ogłoszonych. Tom IV i V, Warszawa 1937. Instytut Józefa Piłsudskiego.

Witold Wyspiański: Jak powstał wszechświat i człowiek. Przyrodniczy pogląd na świat (13 rysunków w tekście). Nakładem T-wa Uniwersytetu Robotniczego, Warszawa 1937. Skład Główny: ul. Czerwonego Krzyża 20.

Mały rocznik Statystyczny: Rok VIII. Warszawa 1937. Nakładem Głównego Urzędu Statystycznego Rzeczypospolitej Polskiej.

Ignacy Jetzis: Przyjaźń śpiewająca. Lwów 1937. Nakładem Wyd. „Jung-Literat".

Wydawnictwa Instytutu Śląskiego, Katowice 1937. Skład Główny: Warszawa, „Nasza Księgarnia":

Stanisław Komar: Górnośląska Konwencja Genewska między Polską a Niemcami (1922 — 1937).

Stanisław Bąk: O zbieraniu materiałów gwarowych na Śląsku. Z przedmową Prof. D-ra Kazimierza Nitscha.

Stanisław Leszczycki: Znaczenie gospodarcze ruchu uzdrowiskowo-turystycznego na Śląsku. Z 13 mapami.

Stanisław Berezowski: Przewodnik po województwie Śląskim. Z 144 ilustracjami i 29 mapami i planami miast oraz z mapą podręczną województwa śląskiego i ziem sąsiednich.

Henryk Worcell: Zaklęte rewiry. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Warszawa 1936.

Duff Cooper: Talleyrand. Przełożył Józef Szpecht. Wydawnictwo J. Przeworskiego. Warszawa 1937.

Poor Yorik: Od niedzieli do niedzieli. Warszawa. Nakładem „Tygodnia Robotnika".

Od wydawnictwa

Celem ustalenia nakładu „Epoki" prosimy o bezzwłoczne nadesłanie przedpłaty za kwartał bieżący

REDAKCJA i ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. O R D Y N A C K A 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K O. 26.630.

R E D A K T O R przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. R Ę K O P I S Ó W nie zwraca się.
P R E N U M E R A T A kwartalnie — zł. 3.— Numer pojedyńczy 50 gr.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 3981 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka. Warszawa, Ordynacka 3.